



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LISTOPAD-GRUDZIEŃ '90/6/

MIESIĘCZNIK TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA • WROCŁAW



SEMPER FIDELIS

DANUTA NESPIAK	
Pokój Ludziom Dobrej Woli	2
MIECZYŚLAW RYSZARD FILIPCZAK	
Odznaki Obrońców Lwowa 1—22 XI 1918 (c.d.)	3
RYSZARD BEŁDZIKOWSKI	
O duchowieństwie lwowskiej archidiecezji na Dolnym Śląsku	5
CZESŁAW E. BLICHARSKI	
450 lat Tarnopola (1540—1990)	7
HELENA LACHOWICZ-SZCZERBIŃSKA, JADWIGA CIECHANOWSKA	
Akademia Handlu Zagranicznego	9
STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA	
Komandor francuskiej Legii Honorowej	12
BEATA FEKECZ-TOMASZEWSKA	
Wystawa: „Lwowska rzeźba barokowa Mistrza Pinzla, XVIII w.”	15
KAROL PASZKIEWICZ	
Pamięci mojego przyjaciela Alojzego Urbusia i innych zesłańców	17
HENRYK STANIUK	
Ród Tomaszewskich	19
JANINA OTRĘBOWICZ	
Nasze losy	25
ANDRZEJ MAŁYSZKO	
Szachy	30
STANISŁAW MACHOWSKI	
Żegnaj Tońku	32
AURELIA MIKULIŃSKA-KORCZYŃSKA	
Refleksje z pobytu polskich dzieci ze Lwowa w Krakowie	32
JERZY JANICKI	
Listy do Lwowa	33
STANISŁAW MACHOWSKI	
Polskie Termopile. Zadwórze pod Lwowem	36
Z życia oddziałów i klubów TML	39

REDAGUJE KOLEGIUM W SKŁADZIE: Jan Akielaszek, Andrzej Chłpalski, Jerzy Janicki, Wiesława Jeleńska-Hombek, Danuta Kotowicz, Tadeusz Myczkowski, Danuta Nespiak, Stanisław Nicieja, Zdzisław Ojrzyński, Andrzej Pankowicz — przewodniczący, Henryk Staniuk

REDAKCJA: Jan Iwaszko — redaktor techniczny, Wiesława Jeleńska-Hombek — sekretarz redakcji, zastępca redaktora naczelnego, Leszek Mrozek — opracowanie graficzne, Henryk Staniuk — redaktor naczelny, Irena Zaucha — sekretariat redakcji

ADRES REDAKCJI: 50-434 Wrocław, ul. Prądyńskiego 14/16, telefon 44 63 72, telex 0712399

ADRES DO KORESPONDENCJI: 50-950 Wrocław, Box 902

WYDAWCA: Wielobranżowe Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe „Presstrust”, 50-434 Wrocław, ul. Prądyńskiego 14/16

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych

Na pierwszej stronie okładki — Książę infułat Wacław Szełetnicki z parafii Świętego Bonifacego we Wrocławiu wręcza w Watykanie Jego Świątobliwości Janowi Pawłowi II egzemplarze „Semper Fidelis” (fot. Arturo Mari)
Na czwartej stronie okładki — witraż lwowski z kościoła Św. Andrzeja Boboli w Londynie

(Wrocław, 20. VI. 1990 r.)

Jego Świątobliwość Ojciec Święty
Jan Paweł II
w Watykanie

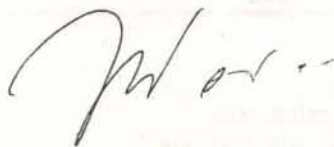
Najukochańszy nasz Ojciec Święty !

Serdecznie prosimy Cię Ojciec Święty
o przyjęcie naszego czasopisma „SEMPER FIDELIS”
~ jak również o modlitwę i błogosławieństwo
dla wiernych kresowych serc ~

w imieniu członków
Towarzystwa Miłośników Lwowa
Ryszard Gryniewicz

ZYCZENIA OD LECHA WAŁĘSY

Czytelnikom "Semper Fidelis" oraz wszystkim Kresowiakom
mieszkającym w kraju i poza jego granicami najserdeczniejsze
Życzenia Świąteczne i Noworoczne składa



Wrocław, dnia 13.XI.1990r.

Kochanym Słowiałom,
których losy rzuciły w różne
zakątki ziemi najserdeczniejsze
pozdrowienia z dalekiej Francji
przysłała Yolanta Figamak-Wilkuska
wraz z mężem



Pokój Ludziom Dobrej Woli

Wszystkim naszym drogim współbraciom — Polakom, którzy nie chcieli się rozstać z rodzinną ziemią — na Wileńszczyźnie, Grodzieńszczyźnie, Wołyniu, Podolu, skupiskom naszych rodaków od Kazachstanu po Mościska z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku przesyłamy najlepsze życzenia. Mamy nadzieję, że święta te — radosne i rodzinne — będą okazją do odbudowy dawnych więzi międzyludzkich, które kiedyś łączyły wielokulturową społeczność kresów wschodnich Rzeczypospolitej.

Od Bożego Narodzenia po Święta Trzech Króli, kiedy to w Małopolsce Wschodniej w ten wieczór wypadała ruska wigilia, śpiewano koledy, chodzono z szopką, gwiazdą, Herodem, diabłem i Zydem. Ten lokalny koloryt kresowy, nadany scenom betlejemskim w okresie świąt polskich i ruskich, sięga czasów dawnych, kiedy na jasełkach chłopię-pastuszek śpiewał:

Zydzie, Zydzie
Mesjasz się rodzi
Więc i Tobie, więc i Tobie
Powitać się godzi.

Nie wiem, czy tę pastorałkę słyszał rabbi Jechiel Michał ze Złoczowa, ale głosił on naukę, że miarą postępowania człowieka jest wzrost lub upadek miłości. On też nakazywał modlić się również za nieprzyjaciół. Pewnego razu zapytali go uczniowie w złoczowskim chajderze: „Rabbi, codziennie modlisz się: Błogosławiony Pan, który dał mi wszystko, czego mi było trzeba, a przecież brak ci wszystkiego, czego człowiekowi trzeba!” Rabbi odpowiedział: „Z pewnością trzeba mi było biedy, i ona właśnie jest mi dana”. Rabbi Jechiel Michał zmarł w 1780 roku w Złoczowie. Pokój Tobie złoczowski rabinie i Twemu współwyznawcy rabinowi Lewiemu Icchakowi z Berdyczowa, zwanemu Miłosiernym, i tysiącom tych Żydów polskich, co bezpowrotnie zniknęli z kre-

sów wschodnich w latach ostatniej wojny. Tym nielicznym, którzy ocalili i żyją gdzieś daleko od Kołomyi, Stanisławowa czy Stryja, życzymy, by już nigdy nie musieli ukrywać swego wyznania i narodowości.

Ale nim protoplaści chasydzkich rabinów Pokucia przybyli na kresy, kilka wieków przedtem osiedlili się tam, wspaniale wpisani w historię tej ziemi, Ormianie — współmieszkańcy Lwowa, Baru, Brodów, Brzeżan, Dubna, Horodenki, Jazłowieca, Kamieńca Podolskiego, Kut, Łucka, Łyśca, Obertyna, Podhajec, Sniatyna, Stanisławowa, Tyśmienicy, Złoczowa, Żółkwi, Żwańca. Wszystkim naszym drogim braciom Ormianom z polskich kresów wschodnich, gdziekolwiek teraz żyją, przesyłamy najlepsze życzenia świąteczne i noworoczne. Współczujemy najgłębiej, że naród o tak starej i wielkiej kulturze, który przyjął chrzest w 314 roku po narodzeniu Chrystusa, ponosi dalej ciężkie ofiary, budując swoją suwerenność. Po tylu tragediach pokoju i niezawisłości życzymy Tobie, Armenio.

Życzenia z okazji Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku kierujemy również do Rusinów-Ukraińców. Pamięć o dobrych dniach naszej wspólnej historii niech będzie moralną zaporą przeciwko największemu grzechowi człowieka — nienawiści. Żadna wolność, a tej wolności Wam życzymy, nie może być budowana na nienawiści. Jeżeli spotkamy się w 1991 roku obojętnie gdzie — w Tarnopolu, Buczaczu, Lwowie czy też nad rzeką Bystrzycą między Popem Iwanem a Howerlą w Czarnohorze — nie traktujcie nas jak wrogów i okupantów. To jest również nasza Ojczyzna i stamtąd wywodzą się nasze korzenie. Chcemy, by tam z powrotem była Europa — tego sobie i Wam życzymy.

Naszemu Czytelnikom — szczęść Boże w Nowym Roku 1991.

Danuta Nespiak

PIOTR HAUSWATER

Są na świecie grody, miasta i miesciska
Są tych miast tysiące, jest ich całe mrowie!
Ale Lwów jest jeden i ... tylko we Lwowie!
Gdy Go widzisz w zimie, na wiosnę czy w lecie
Pamiętaj, że jeden tylko Lwów na świecie!

WŁADYSŁAW ŻOŁNOWSKI

gdzie jest ta rzeka mego dzieciństwa
chłodna jak wino i czysta jak błękit
w niej nurzałem się w skwarze południa
z jej toni patrzyłem jak po niebie
za wzgórz suneły białe obłoki
jak szczęście wędrowki jeszcze nie zaczętej

ANDRZEJ OGRODNIK

Choć jestem Wilna mieszkanką, Ty — Lwowa
Wspólny nam polski duch, polska mowa.
Zza sowieckiej granicy
Tęskno nam do stolicy
Do Lublina, Zamościa, Krakowa ...



ODZNAKI OBROŃCÓW LWOWA 1—22 XI 1918 r. (c.d.)

ODZNAKA PODODCINKA SZÓSTEGO PLACÓWKA DUBLANY-JANÓW

Odznaka owalna z uwypuklonymi lekko brzegami. W środku odznaki, w otoku drobnego wianuszka związanego w kokardę u dołu, postać strzelca w maciejówce z dłońmi wspartymi na lufie karabinu. Wzdłuż brzegów odznaki napisy: w górnej części DUBLANY-JANÓW XII.1918, w dolnej w dwóch wierszach: 10 KOMP. KAPITANA ZAJĄCZKOWSKIEGO. Ukosem poprzecznie na wysokości środka odznaki wycinki wypełnione napisem 5 PP (5 pułk piechoty). Rewers odznaki gładki, ze słupkiem śruby i zakrętką. Odznaka wykonana w pracowni cyzelsko-grawerskiej E. M. Ungera we Lwowie, tłoczona w białym metalu, oksydowana, o wymiarach 59×34 mm.

Pododcinek DUBLANY-JANÓW wchodził w skład VI Odcinka. Komendantem Pododcinka byli kpt. Zajączkowski i por. Tomaszewski.

W linii bojowej znajdowało się 118 żołnierzy, poległo 3 obrońców.



ODZNAKA SZWADRONU „WILKI”

Odznaka o kształcie krzyża równoramiennego, o ściętych skośnie krawędziach, obwiedzionych od wewnątrz perłowym sznureczkiem. Na pogłębionej powierzchni krzyża wypukły napis: na pionowym ramieniu górnym data 22/XI, dolnym — Lwów 1918, wzdłuż ramion bocznych napis WILKI, przy czym litera L tego napisu wypełnia środek krzyża i jest zarazem literą początkową słowa LWÓW, wypełniającego w pionowym ustawieniu liter dolne ramie krzyża. Na podstawie

górnego ramienia krzyża spoczywa głowa wilka z wyszczerzonymi zębami w otwartej paszczy, do niej przylutowane małe uszko z małym i dużym kółeczkiem. Odznaka noszona była na czerwonej wstążce. Rewers odznaki gładki. Odznaka wykonana w pracowni cyzelsko-grawerskiej E. M. Ungera we Lwowie, tłoczona, srebrna, oksydowana, o wymiarach 42×31 mm.

Jest to odznaka przygotowana naprędce podczas walk listopadowych oddziału polskiej kawalerii.

Organizatorem i dowódcą 1 Szwadronu Kawalerii Lwowskiej „WILKÓW” był rtm. inż. por. Tadeusz Krynicki. Warto nadmienić, że w oddziale tym służyli: 15-letni Francuz André Brossard i Anglik Elgin Scott, odznaczeni Krzyżem Walczących.

Stan szwadronu 84, poległo 5 obrońców.



ODZNAKA „LOTNA MASZYNOWA”

Odznaka o kształcie końskiej podkowy zwróconej w dół. W poprzek podkowy ustawiony skośsem pas karabinu maszynowego z 9 nabojami. Na pasie w środku podkowy krzyż Obrony Lwowa bez mieczy i krzyża VM. Na pasie litery: z lewej strony podkowy LO, z prawej — KM. Górną część podkowy z lewej strony wypełnia wypukła data 5 XI (dzień zorganizowania oddziału), dolną — 1918.

Rewers odznaki gładki ze słupkiem śruby i zakrętką. Odznaka projektowana i wykonana w zakładzie cyzelsko-grawerskim E. M. Ungera we Lwowie. Tłoczona w miedzi, srebrzona, oksydowana, o wymiarach 36×34 mm.

Komendant Lotnego Konnego Oddziału Karabinów Maszynowych „Lotna Maszynowa” ppor. Tadeusz Michał Wittman.
Stan załogi 26 żołnierzy.



ODZNAKA SEKCJI LOTNICZEJ

Odznaka łączona z trzech elementów: przepisowa odznaka pilota II klasy (orzeł bez wieńca); w miejscu wieńca na kółku trzymanym w dziobie orła miniatura krzyża Obrony Lwowa z Mieczami i krzyżem VM; pod krzyżem i głową orła znak rozpoznawczy lotnictwa polskiego — szachownica o wymiarach 30×30 mm, emaliowana, 2 kwadraty białe i 2 kwadraty czerwone z obrzeżem srebrzonym, prostokąt ustawiony kątem ku górze. Miniatura krzyża OL pośrodku szachownicy. Części odznaki połączone w jedną całość za pomocą nitów.

Na rewersie szachownicy u dołu numer rejestracyjny odznaki (ewidencyjny), na lewym skrzydle słupki śruby z nakrętką. Odznaka wykonana w pracowni cyzelsko-grawerskiej J. Hachula we Lwowie. Tłoczona w białym metalu, srebrzona, oksydowana, emaliowana w 2 kolorach.

Dowództwo Oddziałów Wojsk Lotniczych Obrony Lwowa znajdowało się na Lewandówce. Organizatorem i dowódcą lotnictwa lwowskiego był lotnik kpt. Stefan Baster (zginął śmiercią lotnika w 1920 r.). Kierownikiem warsztatów był T. Olivier Floriański-Kohman.

Stan załogi 149 żołnierzy, poległ 1 obrońca.

Warto przypomnieć kilka faktów związanych z początkiem lotnictwa polskiego. Lotnictwo lwowskie było jednym z pierwszych w odrodzonej Rzeczypospolitej. 5 listopada 1918 r. na samolocie Oeffagu C II pilot dokonał pierwszego lotu bojowego, bombardując stację kolejową na Persenkówce. Był to pierwszy lot bojowy samolotu polskiego, pomalowanego przez por. Torunia na końcach skrzydeł i na sterze kierunku w biało-czerwone pasy. 8 listopada por. pil. Stefan Stec dokonał lotu z prof. drem Stańskim do Krakowa i Warszawy. W Warszawie złożył Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu pierwszy meldunek z obrony Lwowa.

Twórcą znaku rozpoznawczego w postaci białoczerwonej szachownicy w polskim lotnictwie wojskowym był por. Stefan Stec, jeden z asów byłego lotnictwa austro-węgierskiego. Przyleciał on do Warszawy ze Lwowa na samolocie Brandenburg C I, mając obok znaków lwowskich namalowaną na kadłubie białoczerwoną szachownicę, będącą jego „godłem osobistym”, z którym



Odznaka
Sekcji Lotniczej

Obrony Lwowa z r. 1918, nadaje

Pioszczańskiemu

Modulowi

za dzielność, Armię i pracę przy
Ludowie

Lotnictwa Polskiego

w czasie Obrony Lwowa od 1
do 22 listopada 1918 r.

Naczelnny Komendant Obrony Lwowa

latał na froncie włoskim. Znak ten tak przypadł do gustu szefowi Sekcji Żeglugi Napowietrznej, Ministrowi Spraw Wojskowych, ppłk. Hipolitowi Łassowskiemu, że polecił go wprowadzić jako obowiązujący znak rozpoznawczy w polskim lotnictwie wojskowym. (Rozporządzenie Szefa Sztabu Generalnego, poz. 204, Warszawa, dnia 1 grudnia 1918 r., za Szefa Sztabu podpisał ppłk Niemiewski.)

Przytoczone informacje pochodzą z książki Tomasz J. Kowalskiego *Godło i barwa w lotnictwie polskim 1918—1919*, Biblioteka Skrzydlatej Polski nr 9, Warszawa 1981.

O duchowieństwie lwowskiej archidiecezji na Dolnym Śląsku — szkic daleko niewystarczający

Co wiemy o księżach rzymskokatolickich pochodzących z archidiecezji lwowskiej, duszpasterzujących po 1945 roku na Dolnym Śląsku, i szerzej na ziemiach zachodnich? Rozsiane po różnych publikacjach informacje są fragmentaryczne i nieuporządkowane. Jest to rezultat uwarunkowań niedawnego systemu ustrojowego stymulującego wymogami ideologicznymi określoną politykę badawczą i wydawniczą. W zasadzie w państwowej literaturze naukowej i prasie o polskim Kościele katolickim w ogóle, w tym o jego powojennej misji na ziemiach zachodnich, pisano oszczędnie i specyficznie. Z tych samych powodów prace historyczne katolickich autorów, np. biskupa W. Urbana, A. Micewskiego, P. Rainy, nie docierały do szerszych kręgów społeczeństwa. Także wspomnienia biskupa K. Milika i kardynała B. Kominka, dotyczące ich działalności po 1945 roku jako administratorów apostolskich w diecezjach wrocławskiej i opolskiej, nie były szerzej znane. Nie ma zwanego opracowania o wojennych i po-

go terenowe organy bardzo skrupulatnie interesowały się życiorysami księży i działalnością Kościoła. Na początku 1951 r. departament V MBP, zajmujący się m.in. inwigilacją księży i kierujący represjami wobec Kościoła katolickiego (i innych), dysponował przytoczonymi tu danymi o liczbie i pochodzeniu księży pracujących na ziemiach odzyskanych (tabela).

Do tych danych dołączono kilka wyjaśnień. Pisano, że ta statystyka „nie jest całkowicie ścisła ze względu na częste i ciągłe przesunięcia personalne księży”. Uzupełniono dane informacją o nie wykazanych wcześniej około 40 księżach z diecezji łuckiej. MBP wiedziało ponadto o 30 parafiach kierowanych przez zakonników i oceniało, że na ziemiach zachodnich jest 1100 zakonników. W końcu podsumowano problem uwagą: „władze kościelne również nie mają dokładnych danych i nie prowadzą u siebie normalnych statystyk”¹.

W grupie przedstawicieli polskich władz, przybyłych w połowie maja 1945 r. do Wrocławia na czele z drem Bolesławem Drobnierem, był również ks. Kazimierz Lagosz z archidiecezji lwowskiej. Świecenia kapłańskie otrzymał w 1911 r. we Lwowie i w tamtejszej katedrze przez jakiś czas duszpasterzował. Później był prefektem gimnazjalnym w Horodence, Kałuszu (woj. stanisławowski) i Złoczowie (woj. tarnopolskie). W czasie wojny

Liczba księży i parafii katolickich na ziemiach zachodnich (styczeń 1951 r.)

Diecezje	Księża lwowscy	Księża wileńscy	Księża autochtoni	Księża z centralnej Polski	Ogółem	Liczba parafii
Wrocławska	177	10	27	227	441	550
Gorzowska	56	15	15	296	397	230
Olsztyńska	1	34	28	102	180	163
Gdańska	6	4	35	16	61	46
Opolska	97	—	320	76	493	438
Razem	337	63	425	727	1572	1429

Źródło: Centralne Archiwum MSW, sygn. XXXV/C/1, s. 25.

wojennych losach duchownych z lwowskiej archidiecezji. Niestety, dziś też nie słychać, aby tym tematem choćby w regionalnym ujęciu ktoś się zajął we wrocławskich czy opolskich uczelniach, a może przede wszystkim w naukowych ośrodkach tych diecezji.

Dlatego upominam się o napisanie dziejów właśnie tej grupy ludzi? Najwięcej księży osiedlających się na ziemiach zachodnich zaraz po wojnie pochodziło z archidiecezji lwowskiej. Kardynał B. Kominek w swych wspomnieniach posługuje się liczbą „około 400 kapłanów”¹. Z innych publikacji wynika, że do 1950 r. osiedliło się w diecezji wrocławskiej 175 księży „lwowiaków”, opolskiej — 94, gorzowskiej — 64². Różne źródła są zgodne co do tego, że co najmniej połowa duchowieństwa katolickiego na Dolnym Śląsku w pierwszych powojennych latach wywodziła się z archidiecezji lwowskiej. W tym czasie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i je-

kierował parafią we Wróblicach. Od razu po przyjeździe do Wrocławia objął jedyny nie zniszczony kościół Św. Bonifacego i od działającej tutaj jeszcze niemieckiej kapituły uzyskał jurysdykcję kościelną. W pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny to właśnie ks. K. Lagosz kierował polskich księży do tych miast na Dolnym Śląsku, gdzie zamieszkiwali już polscy osadnicy. W działalności swej miał poparcie władz administracyjnych Dolnego Śląska, które także dopiero co przyjmowały ten teren w swoje władanie. O działalności ks. K. Lagosza wiedział prymas kardynał A. Hlond, nie powierzył mu jednak obowiązków administratora apostolskiego archidiecezji wrocławskiej.

Postać ta jest bardziej znana jako wikariusz kapituły archidiecezji wrocławskiej w latach 1951—1956, uznana za kontrowersyjną, a dziś zapomniana przez wszystkich. Ks. K. Lagosz zmarł w 1961 r. w Warszawie w wieku 73 lat. Podobnie

mało znana jest opolska działalność ks. Emila Kobierzyckiego, przed wojną członka kapituły lwowskiej. Pod presją władz państwowych został wybrany 26 I 1951 r. na wikariusza kapitulnego diecezji opolskiej, tak jak wszyscy zarządcy diecezjalni na ziemiach zachodnich. W grudniu 1956 r. zakończyli oni tę działalność.

Lwowiacy, borysławiacy, mieszkańcy innych miast i wsi opuszczali rodzinne strony z nadzieją, że wkrótce wszystko się odmieni i... powrócą. Mimo że wiele ucierpieli od dwukrotnie „wyzwalającej” ich Armii Czerwonej, mimo terroru Gestapo i NKWD, walk z UPA i bułbowcami, tutaj zwłaszcza na dolnośląskiej ziemi początkowo traktowali swój pobyt jako tymczasowy. Żyli nadzieją powrotu, tęsknili i pracowali. Było to dość powszechne pragnienie i nostalgia za utraconym rodzinnym domem, wsią, miastem, parafią. Wrocławski administrator apostolski po wielu latach w swych wspomnieniach przypominał o tych nastrojach. Pisał bp dr K. Milik: „czasami kapłan przybywający prosi o placówkę blisko Wrocławia, bo przecież niedługo będzie wracał do Lwowa”⁴. Tak wielu ludziom „zza Buga” miało pierwsze pięć lat oczekiwania i wypatrywania lepszych czasów, wkrótce dwadzieścia, czterdzieści... Temu pokoleniu wygnańców niebawem urodziły się dzieci i wnuki tu we Wrocławiu, Opolu, Wałbrzychu, Kłodzku i Jeleniej Górze. Z upływem lat o lwowskim rozdziale swojego życia powracano we wspomnieniach już tylko z sąsiadem emerytem, czasami w rozmowie z proboszczem. Inaczej po przyjeździe tutaj rozmawiało się w pierwszych miesiącach i latach.

W sierpniu 1945 r. do Wałbrzycha przybył pierwszy transport 700 osób z Borysławia. Później co miesiąc przyjeżdżały tu 2—3 transporty repatriantów z okolic Borysławia i Drohobycza. Ze Lwowa docierały tylko niektóre, bowiem większość zatrzymywała się „po drodze” w Gliwicach, Opolu i Wrocławiu. W 1948 roku w Wałbrzychu repatrianci stanowili 37,8 % osiadłej tu ludności⁵. Na całym obszarze sudeckim repatrianci stanowili ok. 23% ludności miejskiej i aż 40,7% społeczności wiejskiej tego regionu⁶.

Część młodości i dorośli, zwłaszcza związani z AK, zagrożeni aresztowaniem przez NKWD i zsyłką do łagrów, indywidualnie uciekali ze Lwowa i innych miast. Exodus ten trwał od jesieni 1944 roku. Tułaczy szlak ściganych przez NKWD i UB lwowiaków prowadził najpierw do Przemyśla, później Krakowa i Zakopanego. Po zakończeniu wojny wydłużył się w kierunku Gliwic, Wrocławia i Jeleniej Góry, a dla niektórych dalej na Zachód. W tych rejonach osiedlali się i odbudowywali swoje życie, przeważnie od nowa. Kościół katolicki, z księżmi pochodzącymi z terenu poprzedniego zamieszkania repatriantów, był jednym z głównych czynników integrujących tych ludzi na nowym miejscu zamieszkania⁷. Taką funkcję pełnił już w 1945 r. ks. T. Wawro, pochodzący ze Lwowa proboszcz kościoła Św. Józefa w Sobiecinie. Wówczas było to samodzielne górnicze miasto, do 1947 r. noszące nazwę Węgiewo. Dziś jest to dzielnica Wałbrzycha, jak mówią najstarsi jej mieszkańcy, a wśród nich spora jeszcze grupa lwowiaków i borysławiaków — miejsce zapomniane przez Boga i zaniedbane przez władze miejskie. To pierwsze pesymistyczne określenie nie wydaje

się tak oczywiste, jeśli uwzględnimy fakt, że w tej wałbrzyskiej dzielnicy w górniczej rodzinie reemigrantów wychował się i ukończył miejscowe III Liceum Ogólnokształcące dzisiejszy najmłodszy wiekiem biskup wrocławskiej archidiecezji — ks. dr Jan Tyrawa. Co do drugiego określenia nie ma żadnych wątpliwości ani usprawiedliwień!

W pierwszych powojennych latach lwowianin, ks. Tadeusz Babiak, administrował wałbrzyskim kościołem pod wezwaniem Św. Barbary przy ul. 22 lipca na Starym Zdroju. Jesienią 1947 roku miejscowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego zainteresował się ks. Babiakiem w związku z jego pracą w gimnazjum, gdzie uczył religii i filozofii. Dość szczegółowo obserwowano kontakty księdza z Władysławem Dubajem, dyrektorem tego pierwszego wałbrzyskiego gimnazjum. W jednym z raportów informowano WUBP we Wrocławiu, że ks. Babiak „wypowiada antyradzieckie opinie”, przy czym dodawano jakby na usprawiedliwienie „ale pochodzi ze Lwowa”⁸.

Z innych przekazów wiadomo, że w 1947 roku w wałbrzyskim kościele Aniołów Stróżów, dominującym nad centrum miasta, służyli polskim osadnikom dwaj księża lwowscy — Józef Listopad i Mieczysław Pieniążek. Być może ten drugi kapłan jest tą samą osobą, o której latem 1946 r. wspominał w dużym reportażu o życiu na Dolnym Śląsku „Tygodnik Powszechny”: „W miasteczku Duszniki energiczny ksiądz Pieniążek uroczystie obchodzi dzień Zesłania Ducha Świętego. Na wieży kościelnej po raz pierwszy odezwały się dzwony. Pierwsze dzwony w tej części Dolnego Śląska. Gdy rozkołysały się spżżone serca dzwonów i wyszła procesja przy uroczystym akompaniamencie ich uderzeń, wzruszenie ogarnęło zebrany lud polski i rozległ się szloch tłumów”⁹. Nie mam wątpliwości natomiast, że zamieszczony w prasie wrocławskiej w czerwcu 1990 r. nekrolog o śmierci ks. emeryta Mieczysława Pieniążka dotyczy wspomnianego wcześniej wikariusza wałbrzyskiego i późniejszego proboszcza w Mieroszowie.

W Kłodzku od marca 1946 r. w budynkach byłego zboru protestanckiego przy ul. Zarzecznej znalazły swoje miejsce lwowianki ss. Franciszkanek i, a w Krzeszowie ss. Benedyktynki. Z ziemi lwowskiej do Lubnowa w powiecie żąbkowskim dotarł wraz ze swoimi parafianami ks. Piotr Rybicki. Takich przykładów można by przytaczać więcej, wymagają one uporządkowania i większej publikacji.

Przez długie lata władza ludowa niełaskawie, delikatnie mówiąc, traktowała obywateli z lwowskimi czy wileńskimi zyciorysami. Zwłaszcza wobec inteligencji różne organy władzy wykazywały proletariacką czujność. Jeszcze bardziej niekorzystnie odnoszono się do duchowieństwa przybyłego z tamtych terenów, co wynikało z programowo wrogiej polityki centralnych władz państwowych wobec Kościoła katolickiego. W walce z Kościołem, prowadzonej przez organy UB, szczególnie do 1956 r. wyczulano je specjalnie na księży „zza Buga” i autochtonów. Jesienią 1954 r. wrocławski Urząd Bezpieczeństwa dysponował listą księży lwowskich zakwalifikowanych do wrogów ludowej demokracji. Do tej 17-osobowej grupy zaliczono: we Wrocławiu ks. ks. Wacława Szelewnickiego, Jarosława i Piotra Chomicz, Grodzkiego, Gawła, Tarnogrodzkiego i Białowąsa; w Wałbrzychu — T. Babiaka i A. Iwanciowa;

W Jeleniej Górze — Dominika Kostiala. Kolejnymi wrogami byli: ks. Łańcucki w Chojnowie, ks. Kucy w Wierzowie, ks. Ł. Makoladra w Malczycach, ks. C. Rubaszewski w Miliczu, ks. K. Salecki w Sulikowie, pow. lubański, ks. Cz. Tuziukiewicz w Sobieszowie i ks. F. Wołoszczuk w Henrykowie Lubańskim¹⁰.

Ile jeszcze interesujących w sumie, tragicznych informacji o ludziach z lwowskim rodowodem znajduje się w różnych krajowych archiwach państwowych, kościelnych czy też w prywatnych zbiorach? Tego nie wiemy. Jedno jest pewne, że w odkrywaniu i korzystaniu ze źródeł archiwalnych dotychczas nie ujawnianych, a dotyczących naszych powojennych dziejów, jesteśmy dopiero na początku drogi.

¹ B. Kominek, *W służbie Ziemi Zachodnich*, Wrocław 1977, s. 41.

² R. Marek, *Kościół rzymskokatolicki wobec ziem zachodnich i północnych*, Warszawa 1976; Z. Szuba, *Ku pełnoprawnym Kościołom lokalnym. Kościół na Ziemiach Zachodnich 1945—1970*, „Życie i Myśl” 1971, nr 7—8.

³ Informacja nr 3/64 z 29 I 1951, Centralne Archiwum MSW, sygn. XXX/C/1, s. 26.

⁴ K. Milik, *Archidiecezja Wrocławska 1945—1951, Wspomnienia pierwszego ordynariusza*, [w:] *Kościół na Ziemiach Zachodnich*, red. J. Krucina, Wrocław 1971, s. 50.

⁵ S. Czajka, *Przemiany Wałbrzycha*, Wałbrzych 1985, s. 35.

⁶ J. Kociszewski, *Zasiedlenie i zagospodarowanie Dolnego Śląska w latach 1945—1949 ze szczególnym uwzględnieniem regionu sudeckiego*, Wrocław 1983, s. 154.

⁷ „Kościół i jego działalność odegrała niemałą rolę w procesie scalania powojennej mozaiki społecznej w jeden naród, w jedno kulturowo związane społeczeństwo. Wśród wątpliwości i poszukiwań zagubionej i rozproszonej ludności ukazywał on wartości, które wtedy, gdy dla zróżnicowanych pojedynczych ludzi i grup wszystko ulegało zmianie, pozostawały niezmiennie i nienaruszalne. W takiej sytuacji Kościół mógł stawiać się najpotężniejszym czynnikiem chroniącym przed rozpadem osobowości i rozkładem życia społecznego”. J. Krucina, *Wkład Kościoła w integrację ziem zachodnich i północnych*, Wrocławskie Studia Teologiczne, Colloquium Salutis nr 17, Wrocław 1985, s. 37.

⁸ Sprawozdanie dekadowe szefa MUBP w Wałbrzychu za okres 15—25 XI 1947, Archiwum WUSW we Wrocławiu, sygn. 146/31.

⁹ M. Jedlicz, *Bez uproszczeń i bez retuszu*, „Tygodnik Powszechny” nr 27 z 7 VII 1946.

¹⁰ Pikanterym szczegółem w tej sprawie jest fakt, że tę listę nazwisk sporządził ksiądz, agent UB, pracujący w kurii blisko ordynariusza ks. Lagosa. Wojewódzkie władze UB nie wniosły do tego wykazu „wrogów” żadnych własnych poprawek. Uznały one tę informację personalną za wiarygodną, a jej źródło kompetentne do środowiskowej oceny ludzi. CA MSW, sygn. 3366/II/20.

CZESŁAW E. BLICHARSKI

450 lat Tarnopola (1540—1990)

Los kierujący zamysłami hetmana Jana Tarnowskiego wyznaczył Tarnopolowi na mapie Rzeczypospolitej miejsce tam, gdzie graniczyły ze sobą trzy województwa: wołyńskie, ruskie i podolskie, gdzie później zabory wcisnęły go w północno-wschodni zakątek cesarstwa austriackiego — na styku dwóch światów i filozofii, a Niepodległość nie poprawiła jego położenia, stawiając go oko w oko z sowieckim imperium zła. Ziemia ta nie cieszyła się mianem ziemi wybranej. Gdy jeszcze nie było Tarnopola, w to miejsce zapędzali się w II i III wieku Rzymianie, nie brakło również Pieczyngów, a później Tatarów.

W celu obrony przed tymi ostatnimi hetman Tarnowski wzniósł w 1540 r. zamek obronny, a wokół niego osiedle nazwane Tarnopolem w okolicy prawie zupełnie bezludnej, poza zainteresowaniem sąsiedniego księstwa halickiego. Hetman załudnił to pustkowie drobną, lecz bitną szlachtą z ubogiego Mazowsza, otwierając w ten sposób wrota do kolonizacji Rusi i Podola. Na piersiach tych osadników miały się szczybić krzywe tatarskie szable. Tarnowski dał swemu miastu prawo magdeburskie, wzniósł kościółek, a w ślad za nim budowano cerkwie i następne kościoły.

Po śmierci hetmana miasto przeszło we władanie jego syna — Jana Krzysztofa, który w swym krótkim życiu zdążył wzmocnić mury broniące przed częstymi najazdami nieprzyjaciół. Z rąk Tarnowskich przeszedł Tarnopol na kilkadziesiąt lat we władanie potężnego rodu książąt Ostrog-

skich. Nowi właściciele traktowali miasto z nie mniejszą pieczołowitością. Po Ostrogskich przyszli Zamoyscy. Tu gościli rycerze wracający spod zwycięskiego Chocimia. W trudnych latach kozackich wojen 1648—1654 zamek uległ zniszczeniu, a miasto zostało spustoszone. Z odbudową czekać trzeba było na nowego dziedzica, którym był Aleksander Koniecpolski. Znowu nieprzyjacieli, tym razem Turcy, rozwiścieczeni skuteczną obroną Trembowli, wywarli swą zemstę na Tarnopolu — wysadzili w powietrze dwie baszty, ograbili miasto, spalili zamek. Dawną świetność miastu przywróciła Marysieńka Sobieska po wygraniu w 1690 r. procesu z Koniecpolskimi. Następnie poprzez zakup przeszedł Tarnopol w ręce Potockich. Józef Potocki sprowadził do miasta oo. Dominikanów, budując im w 1749 r. kościół i klasztor. Niebawem spadła na Tarnopol zaraza morowa, która, jeżeli wierzyć napisowi na zachowanym krzyżu, zabrała 3000 ofiar. Tarnopol, należący do Wincentego Potockiego, w 1772 r. został wcielony do cesarstwa Marii Teresy, która ów zabór austriacki „ochrzciła” mianem „Galicji i Lodomerii”. Prawem paradoksu Tarnopol na tej klęsce zyskał pozycję miasta powiatowego, utraconą przez Trembowlę.

Z początkiem XIX w. miasto liczyło 10 000 mieszkańców, co plasowało go w rzędzie największych miast ówczesnej Galicji. W rezultacie przetargu Napoleona i maniackiego „zbierania ziem ruskich” przez carów moskiewskich zapisał się Tarnopol w historii pod mianem „Kraju Tarnopolskiego”, cieszącego się swoistą autonomią w latach 1810—1815. Z tego okresu pochodzą wzniezione kosztem podatników budynki: „Pułkownikówka”, starostwo i sąd okręgowy, którymi szczylił się wielkorządcą moskiewski hr. Theyls.

Przybycie do miasta w 1820 r. Jezuitów, wygnanych przez cara Aleksandra I z Białorusi, dało początek nowej ery w historii miasta. Przybycie

kilkudziesięciu znakomicie wyszkolonych Jezuitów, wywodzących się z krajów Europy Zachodniej, dało impuls rozwojowi miasta. Jeszcze w tym samym roku założyli gimnazjum i w ślad za nim zbudowali konwikt szlachecki, w którym pobierali naukę synowie znakomitych rodów ziemiańskich z obszarów dawnej Rzeczypospolitej, a nawet z Austrii i Węgier. Za wychowankami gimnazjum ściągali rodzice; dzięki nim wszczął się ruch budowlany. Młodzi konwiktory i gimnazjaliści, wychowani przez Jezuitów, szli do Powstania Listopadowego w 1830 r., byli więzieni za „Sprzysiężenie studentów tarnopolskich” w 1834, wstępowali do Gwardii Narodowej w 1848. Ten ostatni fakt był powodem likwidacji gimnazjum jezuickiego przez Austriaków. Otwarte w 1850/51 gimnazjum świeckie okazało się godnym spadkobiercą ducha swego poprzednika, o czym świadczyły puste ławki w wyższych klasach w czasie Powstania Styczniowego 1863 r.

młodzieży oskarżonej o zdradę stanu, za jaką poczytano działalność tajnej organizacji studenckiej „Żuawi”.

Dzięki ofiarności Tarnopolan wzniesione zostały dwa kościoły: oo. Jezuitów w latach 1899—1900 oraz parafialny w 1908 r. Przed wybuchem I wojny światowej Tarnopol posiadał 3 kościoły, 3 cerkwie i 2 bożnice.

Samorząd miasta sprawowany był przez świetnie porozumiewającą się inteligencję trzech narodowości: polską, ruską i żydowską.

Pokój po I wojnie światowej zawitał do Tarnopola stosunkowo późno, bo dopiero we wrześniu 1920 r. po bratobójczej wojnie z Ukraińcami i odparciu najazdu bolszewickiego. Miasto poniosło wielkie straty, wiele budynków leżało w gruzach. Druga Rzeczpospolita obdarzyła w 1921 r. miasto godnością miasta wojewódzkiego, czyniąc go stolicą Podola. Mimo kryzysu ekonomicznego Tarnopol leczył swe rany tak skutecznie, że w 1931 r.



Tarnopol. Brama do Zamku

Rozpoczęta w 1867 r. tzw. „era autonomiczna” w Galicji spowodowała spolszczenie nie tylko administracji, ale również szkoły, dzięki czemu rozwinęło się szkolnictwo. Tarnopol stał się prężnym ośrodkiem oświatowym promieniującym na całe „galicyjskie” Podole. Doprowadzenie w 1870 r. linii kolejowej ze Lwowa do Tarnopola wzmocniło jego rolę jako centrum handlu zbożem, woskiem i miodem, co oprócz tradycyjnego jarmarku końskiego na św. Annę stanowiło źródło bogacenia się słabej do niedawna warstwy mieszczańskiej. Równocześnie z pierwszym odruchem organizowania się społeczności tarnopolskiej w 1868 r. w postaci utworzenia Towarzystwa Pedagogicznego zaczęły powstawać takie organizacje społeczne, jak rękodzielnicza „Gwiazda”, ubezpieczeniowa „Rodzina”, „Sokół” — skupiająca przyszłą kadrę niepodległościową, Kółko Naukowe Tarnopolskie, Kasyno Mieszczańskie, Towarzystwo Szkoły Ludowej — niosące kaganiec oświaty w podolski lud, i szereg innych. Lata osiemdziesiąte to wzmocniony ruch budowlany, dzięki któremu śródmieście miasta było małym Lwowem, będącym wzorem dla Tarnopola w wielu przejawach życia społecznego.

W 1895 r. miasto, a raczej jego młodzież, stało się sławne w Austrii z powodu procesu tejże

mógł pochwalić się swymi zdobyczami gospodarczymi na Wojewódzkiej Wystawie Regionalno-Rolniczej. Młodzież ucząca się w ośmiu gimnazjach, pięciu liceach, jednym gimnazjum ukraińskim i ośmiu szkołach powszechnych nadała Tarnopolowi charakter miasta młodości. Rozwijało się życie społeczno-kulturalne ogniskujące się w licznych organizacjach. Powstało Podolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauki, myślano o założeniu biskupstwa rzymsko-katolickiego. Wybuch wojny w 1939 r. pogrzebał plany rozwoju miasta. Tarnopol złożył obfitą daninę krwi i ofiar w Polskim Wrześniu, stracił tysiące swych mieszkańców na zsyłce i w łagrach na nieludzkiej ziemi. Po rozgromieniu przez NKWD w 1940 r. Tajnej Organizacji Harcerskiej ZWZ, wielki proces członków AK — Tarnopol we Lwowie w kwietniu 1945 r. oraz wymuszona „repatriacja” zatrzasnęły wieko trumny nad polskim Tarnopolem.

W tym roku przypada jubileusz 450-lecia Tarnopola założonego przez hetmana Tarnowskiego. Diaspora tarnopolska obchodziła go w Częstochowie, gdzie w Kaplicy Pamięci Narodu w dniu 9 IX 1990 r. została odsłonięta tablica pamiątkowa ku czci członków TOH-ZWZ w 50 rocznicę jej rozgromienia. Uroczystość ta zbiegła się z 45 rocznicą procesu tarnopolskich akowców.

Akademia Handlu Zagranicznego

W pierwszym numerze „Semper Fidelis” S.S. Nicieja nakreślił sylwetkę prof. dra Franciszka Tomanka, profesora i prorektora Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego we Lwowie. Chcemy jako byli słuchacze tej jedynej tego typu uczelni w Polsce przybliżyć jej historię.

Miasto Lwów, leżące od wieków na szlaku handlowym wschód-zachód, odczuwać zaczęło w nowszych czasach brak dobrze wyszkolonej kadry pracowników handlowych. W roku 1844 powstała Akademia Techniczna we Lwowie, w której utworzono równorzędny z oddziałem technicznym oddział handlowy. Przekształcono go następnie (1853/54) w 2-letni odrębny kurs handlowy. Kurs ten nie przygotowywał dostatecznie do zawodu kupieckiego, toteż powrócono do poprzedniej koncepcji oddziału handlowego przy Akademii Technicznej. Mimo zwiększenia liczby godzin nauki i zaostrożenia wymogów przy naborze uczniów nie osiągnięto zamierzonego celu. Sfery kupieckie, banki i towarzystwa kredytowe odczuwały dotkliwy brak fachowców, dlatego też Rada Miejska Miasta Lwowa i Sejm Krajowy wniosły w 1894 r. petycję do rządu w Wiedniu o utworzenie regularnej państwowej akademii handlowej. Ministerstwo Wyznań i Oświaty wyraziło swą zgodę reskryptem z dnia 1 sierpnia 1896 r. Wyznaczono odpowiednie pomieszczenie i uzgodniono, że koszty uczelni będzie pokrywać Wydział Krajowy wraz z gminą miasta Lwowa i Izbą Przemysłowo-Handlową. Minister mianował dotychczasowego profesora Państwowej Szkoły Przemysłowej w Czerniowcach Antoniego Pawłowskiego na dyrek-

tora uczelni i zarządził, aby pierwszy rok nauki rozpoczął się z dniem 1 października 1899 r. Tak więc po długich staraniach i oczekiwaniach Państwowa Wyższa Szkoła Handlowa we Lwowie utworzyła swe podwoje. Dyplom tej uczelni miał być uważany za równorzędny z uzyskiwanymi w innych tego rodzaju akademiach handlowych. Szkole nadano statut, regulamin i plan nauki, mianowano wykładowców stałych i pomocniczych, określono przedmioty obowiązkowe i względnie obowiązkowe. Językiem wykładowym był język polski.

Państwowa Wyższa Szkoła Handlowa dzieliła się na: a) szkołę wyższą obejmującą 4 kursy roczne i b) szkołę handlową uzupełniającą. Prowadziła kursy dla abiturientów szkół średnich, zawodowy kurs wieczorowy dla dorosłych oraz specjalne wieczorowe kursy handlowe.



Prof. Stanisław Ruziewicz — trzeci rektor uczelni (fotografia drugiego rektora nie zachowała się)

Wśród profesorów tej uczelni byli ludzie o wysokich kwalifikacjach, tacy jak wspomniany już prof. Antoni Pawłowski — matematyk, Eugeniusz Romer — docent geografii Uniwersytetu Lwowskiego, czy Roman Załoziecki — docent Szkoły Politechnicznej. Zajęcia z religii prowadził nie kto inny, jak ks. Adam Sapieha — ksiądz, dr prodziekan, wicerektor seminarium duchownego obrządku łacińskiego, późniejszy kardynał krakowski. W tych pierwszych latach 1899/1900 i 1900/01 przyjęto na studia 68 osób: 58 Polaków, 8 Rusinów, 1 Czecha, 1 Słoweńca. Wyznanie rzymskokatolickie reprezentowało 35 osób, greckokatolickie — 8, obrządek ormiański — 2, wyznanie mojżeszowe — 23.

W latach między 1899 a 1920 czynne były we Lwowie liczne szkoły handlowe. W 1908 r. Towarzystwo Szkoły Handlowej powołało i uruchomiło szkołę handlową oraz męskie i żeńskie 2-klasowe i inne kursy kupieckie i fachowe. wieczorowe kur-



Prof. Antoni Pawłowski — pierwszy rektor

sy specjalne, tak że miasto Lwów mimo zaboru, a potem wojny, nie przestało dbać o douczanie swej młodzieży i kształcenie kadry handlowców.

Po I wojnie światowej tradycja wyższej uczelni handlowej została wznowiona. Wyższa Szkoła Handlu Zagranicznego (WSHZ) została założona we Lwowie przez lwowską Izbę Przemysłowo-Handlową i zatwierdzona przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w porozumieniu z Ministerstwem Przemysłu i Handlu reskryptem z 14 października 1922 r. Z tą chwilą uzyskało szkolnictwo handlowe uczelnię kształcącą studentów w dziedzinie nauk handlowych i ekonomicznych, jedyną w Polsce ukierunkowaną na organizację handlu zagranicznego oraz służby konsularnej. Studia trwały siedem semestrów, dając absolwentom tytuł dyplomowanego komercjalisty. Fakultatywny był semestr VIII, kończący się egzaminem magisterskim dopiero od czerwca 1939 r.

Organizatorem WSHZ był prof. Antoni Pawłowski, jej pierwszy rektor, później profesor honorowy, który też zorganizował budowę gmachu przy ul. Boularda 5. Od 1931 do 1939 r. rektorem był prof. dr Henryk Korowicz, ekonomista. Dzięki jego i innych staraniom WSHZ przekształcona została w 1937 r. w Akademię Handlu Zagranicznego (AHZ) z uzyskaniem pełnych praw akademickich i przeniesieniem do nowego gmachu przy ul. Sakramentek 10. Trzecim rektorem z chwilą wybuchu II wojny światowej został prof. dr Stanisław Ruziewicz, matematyk. Obaj uczeni zostali aresztowani przez hitlerowców 11 lipca 1941 r., a następnie zgładzeni.

WYŻSZA SZKOŁA
HANDLU ZAGRANICZNEGO
WE LWOWIE

We Lwowie, dnia 17 grudnia 1935.

Z A Ś W I A D C E N I E .

Rektorat Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego we Lwowie
stwierdza, że p. Tadeusz Wondrausch pracuje w naszej Uczelni w charakterze sekretarza. -

Zaświadczenie niniejsze wydaje się do użytku Zarządu Miejskiego
król. stoł. Miasta Lwowa.

Henryk Korowicz
/Prof. Dr. Henryk Korowicz/
REKTOR

Zaświadczenie pracy Tadeusza Wondrauscha, sekretarza-kwestora do września 1939 r., obrońcy Lwowa z 1918 r.

Według programu na rok akademicki 1937/38 przy uczelni istniało roczne studium, tzw. kurs abiturientów, a także organizowane były kursy z zakresu rachunkowości, bilansów, rewizji, podatków, ubezpieczeń i inne.

Władze szkoły stanowił rektorat, wówczas rektor prof. dr Henryk Korowicz, prorektor dr Teofil Seifert, wraz z Radą Profesorów, której członkami byli: dr Julian Czyżewski, dr Aleksander Dąbrowski, dr inż. Kazimierz Ihnatowicz, dr Stanisław Ruziewicz, p. Antoni Pawłowski, dr Teofil Seifert, dr Antoni Wereszczyński, dr August

Zierhoffer, p. Czesław Krogulski oraz delegaci wykładowców, którymi byli dr Stefan Górniak i dr Kazimierz Sośnicki. Dziesięciu komisjom z urzędu przewodniczył rektor. Profesorowie zatrudnieni byli na etacie, a także prowadzili wykłady zlecane, do pomocy mieli asystentów.

Kancelarię prowadził sekretarz-kwestor — dyplom. Tadeusz Wondrausch, obrońca Lwowa w 1918 r., oraz sekretarz Zygmunt Szymanowski stracony po wojnie za konspirację. Biblioteką kierował dypl. kom. Władysław Maksymowicz (po wojnie wykładowca na Politechnice Krakowskiej).

Program był bardzo szeroki i obejmował nauki: handlowe, ekonomiczno-społeczne, prawnicze, geograficzne, towaroznawstwo i technologię, zagadnienia pedagogiczno-dydaktyczne, języki obce (obowiązkowy francuski), inne wykłady (publica), umiejętności (jak stenografia i maszynopisanie). Na II, III i IV roku studiów obowiązkowe było jedno z seminariów z dziedziny: ekonomii, handlu międzynarodowego, geografii lub towaroznawstwa.

WYŻSZA SZKOŁA HANDLU ZAGRANICZNEGO WE LWOWIE

L 2000

Karta Imatrykulacyjna

Poświadczam, że Pan

Lerski Jerzy Jan Marian
urodzonego dnia 25 stycznia 1914 roku we Lwowie

złożył przyrzeczenie przestrzegania ustaw Państwa Polskiego, zachowania zgodnie z przepisami akademickimi i wytrwałego dążenia do zdobycia wiedzy, przez co uzyskał obywatelstwo akademickie, został przyjęty prawomocnie w poczet studentów zwyczajnych i zapisany do księgi imatrykulacyjnej WYŻSZEJ SZKOŁY HANDLU ZAGRANICZNEGO WE LWOWIE

We Lwowie, dnia 29 I. 1937

Henryk Korowicz

Karta imatrykulacyjna Jerzego Lerskiego, studenta tej uczelni, autora książki *Emisariusz Jur* (Oficyna Wydawnicza „Interium”, Warszawa 1989)

Duża różnorodność przedmiotów sprawiała spore trudności w opanowaniu materiału i zdaniu kilkunastu egzaminów pod koniec każdego roku akademickiego, dlatego w przepisowym terminie do dyplomu zgłaszał się niewielki procent uczyniających studia. Dołączali do nich studenci z opóźnionych lat. Na przykład w 1937 r., w którym przyjęto 650 studentów, do egzaminu dyplomowego zasiadło w przepisowym terminie po siedmiu semestrach studiów tylko 4 studentów, ale dołączyli do nich opóźnieni studenci z lat poprzednich w liczbie 77, tak że dyplom uzyskało 81 studentów.

Wykładowców miała Akademia Handlu Zagranicznego znakomitych. Byli nimi wybitni specjaliści nauk ekonomicznych i handlowych, niektórzy z nich byli profesorami na Uniwersytecie Jana Kazimierza (np. prof. Julian Czyżewski, prof. Zygmunt Czerny i inni) lub na Politechnice Lwowskiej (prof. Edward Geisler).

W latach 1934/35 do 1938/39 wykładali i prowadzili seminaria (w kolejności semestrów): prof. dr Teofil Seifert, prof. dr Stanisław Ruziewicz, prof. Czesław Krogulski, prof. dr Stefan Samolewicz, prof. dr Stefan Górniak, prof. dr Henryk Korowicz, prof. dr Antoni Wereszczyński, prof. dr Stefan Inglot, prof. dr Kazimierz Ciesielski, prof.

Stanisław Kochanowski, prof. Charles Irvine, prof. Aleksander Dąbrowski, prof. dr Julian Czyżewski, prof. dr Franciszek Tomanek, dr Marcin Szarski, prof. dr Mieczysław Honzatko, prof. dr Kazimierz Przybyłowski, prof. dr August Zierhoffer, inż. Tadeusz Stobiecki, prof. dr Zygmunt Czerny, prof. Kazimierz Karpiński, prof. inż. Edward Geisler, prof. dr Michał Jasiński, prof. dr Antoni Nowak-Przygodzki, prof. inż. Kazimierz Zipser, prof. Marian Zimmerman, prof. dr Zygmunt Hahn, prof. dr Kazimierz Sośnicki, prof. dr Julian Kochanowski, prof. dr Carlo Gallo.

Według indeksu Tadeusza Czesława Wondrauscha (nr 51) w latach 1924/25—1926/27 wykładali też inni profesorowie, jak: Dyonizy Oborski, Eugeniusz Bilinkiewicz, dr Stefan Uhma, dr Aleksander Doliński, Albert Roiński, dr Petyniak-Sanecki, dr Marian Rosenberg, dr Uznański, dr Aleksander Mataczyński, dr Stanisław Świgoś, dr Bolesław Czúruk.

AHZ miała własne wydawnictwa — podręczniki, jak też dzieła specjalistów. W latach 1922/23 do 1936/37 zgłosiły się do wpisów 5593 osoby, z

których przyjęto 5123; ukończyło III rok 599, a dyplom otrzymało 734 słuchaczy.

Młodzież studencka tworzyła różne stowarzyszenia według zapatrywań czy narodowości; życie toczyło się bujnie i gwarnie, a niektóre związki koleżeńskie przetrwały nie zmienione przez ostatnią burzę dziejową. Dowodem na to jest fakt, że w Krakowie przy Towarzystwie Miłośników Lwowa powstało koło Absolwentów AHZ, którego ostatnie spotkanie w lutym 1990 r. zakończyło się wspólnym wpisem do Księgi Pamiątkowej na wystawie „Lwów” i uczczeniem pamięci profesorów i kolegów, którzy stali się ofiarami przemocy.

Nie są znane losy wojenne wszystkich profesorów. Wiadomo jednak, że w 1941 r. prof. Teofil Seifert, delegowany do Charkowa, nie powrócił po wybuchu wojny hitlerowsko-sowieckiej — los jego jest nieznany. Prof. Wincenty Samolewicz był dyrektorem rocznego Studium Ekonomiczno-Handlowego (1946/47) w Bejrucie, a w 1945 r. kierował sekcją ekonomiczną Instytutu Polskiego w Bejrucie. Tadeusz Wondrausch w latach 1942—44 wykładał na Wyższych Kursach Naukowych w Jerozolimie, gdzie zmarł po wojnie.

Na zdjęciach przedstawiamy demontaż pomnika W. I. Lenina sprzed gmachu Teatru Wielkiego we Lwowie w dniu 14 września 1990 r. Fot. Henryk Staniuk.

Przedstawiciel redakcji „Semper Fidelis” obserwował serię demonstracji oraz przebieg głodowego strajku solidarnościowego dla poparcia postulatów wysuniętych przez młodzież studencką Kijowa. We Lwowie zawieszono zajęcia we wszystkich uczelniach i szkołach.



W proteście głodowym uczestniczyli głównie studenci i nauczyciele akademicy uczelni wyższych. Domagali się między innymi wyłączenia elektrowni atomowej w Czarnobylu, terytorialnego ograniczenia zasięgu pełnienia służby wojskowej do terytorium Ukrainy oraz ustąpienia premiera Ukrainy Witalija Masoia.

W dniu 16 października na scenie Teatru Wielkiego we Lwowie wystąpił 82-osobowy ukraiński chór „Dumka” z Nowego Jorku. Zespół dyrygowany przez Semeną Komirnego prezentuje dużą kulturę śpiewu. We Lwowie wykonał 14 pieśni o charakterze patriotyczno-narodowym, religijnym (*Ojciec nasz* i *Zdrowaś Mario* publiczność wysłuchała na stojąco) oraz transpozycji pieśni ludowych. Pomimo stosunkowo wysokiej ceny biletów — 5 rubli, na koncercie był nadkomplet publiczności. Dominowały stroje narodowe, u pań sznury koraliki. Po wyczerpaniu programu koncertu bardzo wzruszeni członkowie zespołu wielokrotnie bisowali i w sensie dosłownym zostali obsypani kwiatami. Przedstawicielowi redakcji najbardziej podobało się wykonanie pieśni *Karpaty* — kompozytor I. Szamo, słowa I. Masenko.



DIASPORA MAŁOPOLSKA

STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

Komandor francuskiej Legii Honorowej

Polska diaspora nie jest zjawiskiem opisanym naukowo. Szacunkowo określa się, iż około 30% wszystkich Polaków żyje poza granicami dzisiejszej Rzeczypospolitej. Największe jej skupiska znajdują się w Stanach Zjednoczonych, Brazylii, Kanadzie, ZSRR, Anglii, Niemczech Zachodnich. Nie ma jednak literatury, która precyzyjnie podawałaby rozmiary ilościowe Polonii. Powodów jest wiele, ale przede wszystkim nienajlepsza kondycja naszej historiografii oraz długoletnie bariery cenzuralne. One to głównie spowodowały, iż szczególnie nikła jest nasza wiedza o roli wybitnych Polaków żyjących na obczyźnie. Jeżeli dotychczas przenikały do kraju informacje o sukcesach naszych rodaków na emigracji, to głównie pisarzy, malarzy, filmowców — w ogóle ludzi kultury. Pomijano zupełnie działaczy społecznych, przemysłowców, polityków.

Próbując choć w pewnym stopniu wypełnić tę lukę, pragnę przedstawić sylwetkę lwowianina Jana Bolesława de Korwin-Krokowskiego — komandora francuskiej Legii Honorowej, uczestnika antyfaszystowskiego ruchu oporu, przemysłowca, filantropa, jednego z wybitniejszych Polaków, których los rzucił do wschodniej Francji, a konkretnie do Lotaryngii.

Jan Bolesław de Korwin-Krokowski wywodzi się ze starego rodu, w ostatnich wiekach skoligaczonego m.in. z rodzinami Kopeckich, Brunickich, Turnauów i Kelles-Krausów. Jego młodość związana była ze Lwowem, choć przypadek zrządził, iż urodził się w Szczakowej. W warunkach wojennych brzemiennej matki nie zdążono dowieźć do szpitala w Katowicach i — jak chce legenda — poród nastąpił 21 marca 1917 roku właśnie na dworcu w Szczakowej — wielkim węźle komunikacyjnym znajdującym się w pobliżu słynnej wówczas granicy trzech cesarzy — rozbiorców Polski.

W samym Lwowie Korwin-Krokowski spędził ponad 20 lat, mieszkając wspólnie z matką i liczny rodzeństwem na ulicy Zielonej. W Lwim Grodzie ukończył znane VII Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki, które szczyliło się m.in. takimi wychowankami, jak Adam Próchnik — wybitny historyk, i Marian Hemar — bard Lwowa.

Tam też studiował mechanikę na Politechnice, słuchając m.in. wykładów profesorów Łomnickiego, Plamitzera, Ulama i Bartla. Był to czas bardzo intensywnego życia politycznego społeczności akademickiej i walki endecji z sanacją. Metody tej walki ocierały się czasem o granice dobrego smaku. We wspomnieniach Korwin-Krokowskiego z lat studenckich zachował się m.in. incydent wywołany przez dominujących we Lwowie studentów o przekonaniach narodowych, którzy pragnąc ośmieszyć byłego premiera sanacyjnego, wpuszcili do gmachu Politechniki prosiaka z dużym napisem „Bartel”. Lwów miał swój specyficzny humor, a studentom zawsze towarzyszyła fantazja.



Jan Bolesław Korwin-Krokowski w Paryżu w 1947 r.

W tym czasie Politechnika Lwowska należała do najlepszych uczelni technicznych w Europie. Krokowski był członkiem korporacji akademickiej „Aragonia” i bardzo dobrym studentem, którego pasją było lotnictwo. Wiele godzin spędzał w powietrzu na ulubionym szybowcu. Niestety, nie było mu dane ukończyć Politechniki i poświęcić się ulubionej dziedzinie. Plany te pokrzyżował wybuch wojny.

Po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną Korwin-Krokowski z grupą kolegów, zagrożony aresz-

towaniem, w dramatycznych okolicznościach zbiegł na Węgry do Miśkolca i Budapesztu, a stamtąd do Francji. Już w październiku 1939 r. trafił do słynnego obozu szkolenia kadr dla armii polskiej we Francji — Coetquidan w Bretanii. Tam w czasie pierwszej wojny światowej znalazła gošcinę armia Hallera, tam też generał Sikorski postanowił urządzić główną bazę szkoleniową dla odradzającego się po klęsce wrześniowej wojska polskiego.

W Coetquidan Korwin-Krokowski przebywał wspólnie z bratem Stanisławem i kuzynami, również lwowiakami: Hoszowskim i Fangorem. W tysiącach ochotników, wygnańców i uciekinierów z Polski było wielu studentów, młodych inżynierów i nauczycieli, i w ogóle ludzi wyrzuconych z ojczyzny i żądnych odwetu na Niemczech. Krokowski trafił początkowo do kompanii karabinów maszynowych, gdzie jego dowódcą był późniejszy pisarz Stanisław Strumpf-Wojtkiewicz. Następnie został przeniesiony do 7 kompanii dowodzonej przez kapitana Prociuka, a następnie przeszedł kurs łącznościowców i objął dowództwo nad oddziałem telefonistów.



Pan Korwin-Krokowski z małżonką Angeline Battocchi — Nancy 1962 r.

W maju 1940 r. Niemcy zaatakowały Francję. Oddział Korwina-Krokowskiego, wysłany na front do Lotaryngii, dotarł tam po kilkudniowym wyczerpującym marszu. Wojna była już właściwie przegrana. Niemcy triumfowali. Jak wszyscy żołnierze polscy, a zwłaszcza grenadierzy z dywizji gen. Bronisława Ducha, przeżył wówczas szok po niespodziewanej i błyskawicznej klęsce Francji. Rozwiał się nadzieje szybkiego pokonania Niemców. Korwin-Krokowski obserwował kompromitujące zachowanie się dowództwa francuskiego, totalny chaos, bałagan, dezercję. Szukając bezpiecznego schronienia, postanowił iść w kierunku granicy szwajcarskiej. Niestety, w połowie drogi wpadł w ręce oddziału niemieckiego. Los był mu jednak przychylny, gdyż kilka dni później, wykorzystując okazję, uciekł z więzienia i ukryty pod wagonem pociągu relacji Kolonia—Zurich dotarł do Szwajcarii.

W Zurichu Korwin-Krokowski podjął studia na tamtejszej Politechnice. Jednak po kilku tygodniach na skutek fałszywej denuncjacji, iż jest niebezpiecznym kryptokomunistą, został aresztowany przez Szwajcarów i osadzony w więzieniu w Sankt Urban (mieście, w którym znajdują się

słynne stalle kościelne). Po trzech tygodniach, dzięki interwencji znajomego ze Lwowa, kapitana Marcina Prugara (brata generała Prugar-Ketlinga), odzyskał wolność. Wrócił wówczas na studia do Zurichu, a po kilku miesiącach przeniósł się do Francji na Politechnikę w Grenoble, gdzie we wrześniu 1943 r. otrzymał dyplom inżynierski o specjalności elektryczność.

W czasie studiów na Politechnice w Grenoble Korwin-Krokowski podjął działalność we francuskim ruchu oporu „Resistance” oraz w sieci wywiadu noszącej kryptonim „Szwajcaria III”. Został mianowany komisarzem operacyjnym regionu Alp (FTPF—FFI) i zorganizował kompanię złożoną z górników różnych narodowości zagłębia węglowego La More koło Grenoble. Prowadził bardzo żywą, ocierającą się o granice ryzyka akcję wywiadowczą oraz przerzut ludzi, głównie Żydów, przez granicę szwajcarską, przekazywał aliantom informacje o sieci elektrycznej w południowej Francji, o magazynach broni, skupiskach, liczebności i ruchach wojsk niemieckich, miejscach przetrzymywania więźniów politycznych oraz bankach, w których ruch oporu może przechwyć pieniądze. On to m.in. przekazał wiadomość o trasie przejazdu dywizji „Herman Goering”, którą alianci zbombardowali.

Wywiadowcza działalność Korwin-Krokowskiego została przerwana nagle 23 grudnia 1943 r., kiedy to idąc do kościoła na Plac Grenet w Grenoble na umówione spotkanie z pułkownikiem Jakliczem i jego adiutantem Czesławem Chowańcem wpadł w kocioł urządzony przez gestapo. Obławą tą, podczas której aresztowano około 3 tys. osób, kierował sam Klaus Barbie.

Po aresztowaniu Korwin-Krokowski został przewieziony początkowo do Frasnies koło Paryża, później do stalagu Compiègne, a 16 stycznia 1944 r. do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Razem ze współwięźniami jechał w wagonach służących do transportu koni. Wyjątkowo ostry mróz przenikał przez szczeliny między deskami do wnętrza pociągu, dziesiątkując wygłodzonych pasażerów. Krokowski twierdzi, iż przeżył ten upiorny transport m.in. dlatego, że w odruchu desperacji zdecydowano się, aby skamieniałymi zwłokami więźniów zasłaniać szpary w ścianach wagonów. W ten sposób umarli oddali swą ostatnią usługę żywym.

10 lutego 1944 r. Jan Bolesław de Korwin-Krokowski został przewieziony do obozu koncentracyjnego Mittelbau w górach Harzu, którego główną bazę opatrzone kryptonimem „Dora”. Był to jeden z najcięższych obozów hitlerowskich, gdzie więźniowie nie tylko pracowali w podziemnych sztolniach, ale też żyli i spali w najstraszniejszych warunkach; nie wychodzili w ogóle na światło dzienne, pilnowani przez administrację złożoną z kryminalistów.

W kartotekach Mittelbau zanotowano ponad 53 tys. więźniów, z których około 25 tys., a więc blisko 50%, zmarło z wycieńczenia, chorób i pozbicia.

Obóz „Dora” miał wyjątkowe znaczenie w sieci hitlerowskich kacetów. Tam bowiem po zbombardowaniu przez aliantów bazy rakietowej w Peenemünde na wyspie Uznam powstała nowa gigantyczna fabryka pocisków rakietowych V-2 i bomb latających V-1. Aby zabezpieczyć przed

ponownym zniszczeniem przez alianckie lotnictwo, fabrykę umieszczono wewnątrz potężnej góry o nazwie Kohnstein, 6 km na północ od Nordhausen, gdzie od stuleci drążono tunele, wydobywając siarczan wapnia. Ponad 50 tys. więźniów z całej Europy pracowało na trzy zmiany w dzień i w nocy, aby pogłębić sztolnie i przygotować je do rozpoczęcia produkcji V-2. Drążono tunele o wymiarach 300 m długości, 30 m szerokości i 15 m wysokości, które łączono korytarzami. Jak wspomina Korwin-Krokowski, „było to prawdziwe dantejskie piekło. Już po paru minutach pracy pył zatykał oddech. Woda była tam na wagę złota. Biała zawiesina wapiennego kurzu po prostu dusiła ludzi. Wybuchy ładunków dynamitowych odrywały ze sklepień wielkie bloki skalne, miażdżąc częstokroć robotników”.

W tych warunkach trzeba było mieć wielką wolę życia i nadzieję, aby przetrwać. Korwin-Krokowski, nie bacząc na ekstremalną sytuację, podtrzymywał ludzi na duchu, pomagał chorym i myślał o sposobach, jak przerzucić na zewnątrz informacje o produkcji osławionej hitlerowskiej Wunderwaffe, aby dotarły one do sztabów alianckich.



Komandor francuskiej Legii Honorowej J.B. Korwin-Krokowski (zdjęcie z 1970 r.)

Wybitny polski historyk przebywający na emigracji w Londynie, Józef Garliński, w książce *Hitler's last weapons V-1 — V-2* (Ostatnia broń Hitlera), przetłumaczonej na główne języki europejskie, tak pisze o roli Korwin-Krokowskiego przy dekonspiracji „Dory”: „Polaków zorganizował przybyły w styczniu 1944 roku z Buchenwaldu Jan Bolesław Krokowski, młody oficer polskiego wywiadu i francuskiego podziemia. Po pracy w podziemnej fabryce i po pobycie w szpitalu został «Schreiberem» w baraku nr 8, a później 12, i uzyskał możliwość swobodnego poruszania się po obozie. Znał dobrze język francuski, bo studiował w Grenoble, miał więc kontakty z Francuzami, co okazało się bardzo pożyteczne”.

Krokowski porozumiał się początkowo z Józefem Radzymińskim, pochodzącym z Krzemieńca (rocznik 1911), dziennikarzem, tłumaczem, byłym korespondentem wojennym przy hiszpańskiej armii republikańskiej, oraz młodym Tadeuszem Patzerem, absolwentem gimnazjum chyrowskiego, byłym więźniem Pawiaka i Oświęcimia, który w Mittelbau pełnił funkcję tłumacza obozowego i zorganizował straż pożarną złożoną z Polaków, przewidzianą jako załóżek walczącej siły, gdyby pod koniec wojny SS-mani próbowali wymordo-

wać więźniów. (Są to wspaniałe, zapomniane dziś postacie kresowiaków czekające na swego biografę.) Radzymiński zginął w czasie bombardowania w ostatnich dniach wojny w maju 1945 r., Patzer zmarł w Afryce Południowej — obaj byli odznaczeni Krzyżem Zasługi z Mieczami przez rząd polski w Londynie. Do grupy tej dołączyli po pewnym czasie Marek Kolczyński — elektryk, Andrzej Starzyński — członek POWN, znający używane przez tę organizację szyfry, i Antoni Kuligowski. Wszyscy wymienieni spełniali w obozie funkcje tłumaczy, elektryków, mechaników itp., stąd mieli większą niż inni więźniowie swobodę ruchów.



Pan Korwin-Krokowski z autorem artykułu w Nancy — kwiecień 1990 r.

„Krokowski — jak pisał Józef Garliński — dzięki dobrej znajomości języka przyjaźnił się z wieloma Francuzami, miał więc szersze możliwości niż inni, bo mógł wykorzystywać kontakty dwóch narodowości. Właśnie dlatego w połowie roku 1944 nadarzyła mu się okazja, która okazała się decydująca dla pierwszego przerzucenia ważnego meldunku na zewnątrz. Jeden z Francuzów, Henri Chayot, który pracował w garażu opodal obozu, poinformował go w wielkim sekrecie, że przyjaźni się tam z robotnikiem cywilnym, podającym się za Polaka, który ostrożnie dopytuje się o produkcję podziemnej fabryki. Krokowski przygotował szereg pytań, które wyjaśniły intencje robotnika, a gdy uznał jego wypowiedzi za wystarczające, dał Francuzowi wiele szczegółów oraz zaopatrzył go w szkic latającej bomby i rakiet. W kilka tygodni później inny cywilny robotnik z polecenia pierwszego podjął kontakt z Francuzem i również otrzymał potrzebne mu szczegóły. Musieli oni mieć kontakt z agentem Intelligence Service, bo ostatniego dnia sierpnia 1944 roku Londyn po raz pierwszy otrzymał autorytatywną wiadomość o produkcji V-1 i V-2 w

c.d. na s. 23

BEATA FEKECZ-TOMASZEWSKA

Wystawa: „Lwowska rzeźba barokowa Mistrza Pinzla, XVIII w.”

Od dnia 7 września do 15 listopada br. wrocławianie mieli wyjątkową okazję zapoznania się w Muzeum Architektury z twórczością jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy lwowskich późnego baroku, artysty niezwykle w skali europejskiej, znanego jako snycerz Pinzel. Wystawa, będąca wydarzeniem kulturalnym, którego rangę trudno przecenić, została zorganizowana przez Lwowską Galerię Obrazów, a twórcą jej jest długoletni dyrektor tej placówki — Borys Woźnicki. Człowiek to wielce zasłużony dla ratowania zabytków, zwłaszcza drewnianej rzeźby na tamtym terenie. Na skutek powojennych przemian historycznych losy sztuki sakralnej na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej wydawały się przesądzone. Liczne kościoły były zamykane lub zamieniane na magazyny i składy, a ich wspaniałe rzeźbiarskie wystrój ulegał rozproszaniu i przynajmniej częściowemu zniszczeniu. Tragiczne losy wielu rzeźb znalazły aż nadto widoczne odbicie w stanie ich zachowania.

W ciągu 25 lat udało się B. Woźnickiemu i jego współpracownikom zgromadzić w składnicy muzealnej w Olesku ponad 2000 drewnianych rzeźb, z czego większość pochodzących z XVIII w., w tym sporą część zachowanego dorobku Mistrza Pinzla. Dzięki zgromadzeniu w jednym miejscu tak ogromnej liczby zabytków snycerki barokowej stało się możliwe podjęcie na nowo badań nad

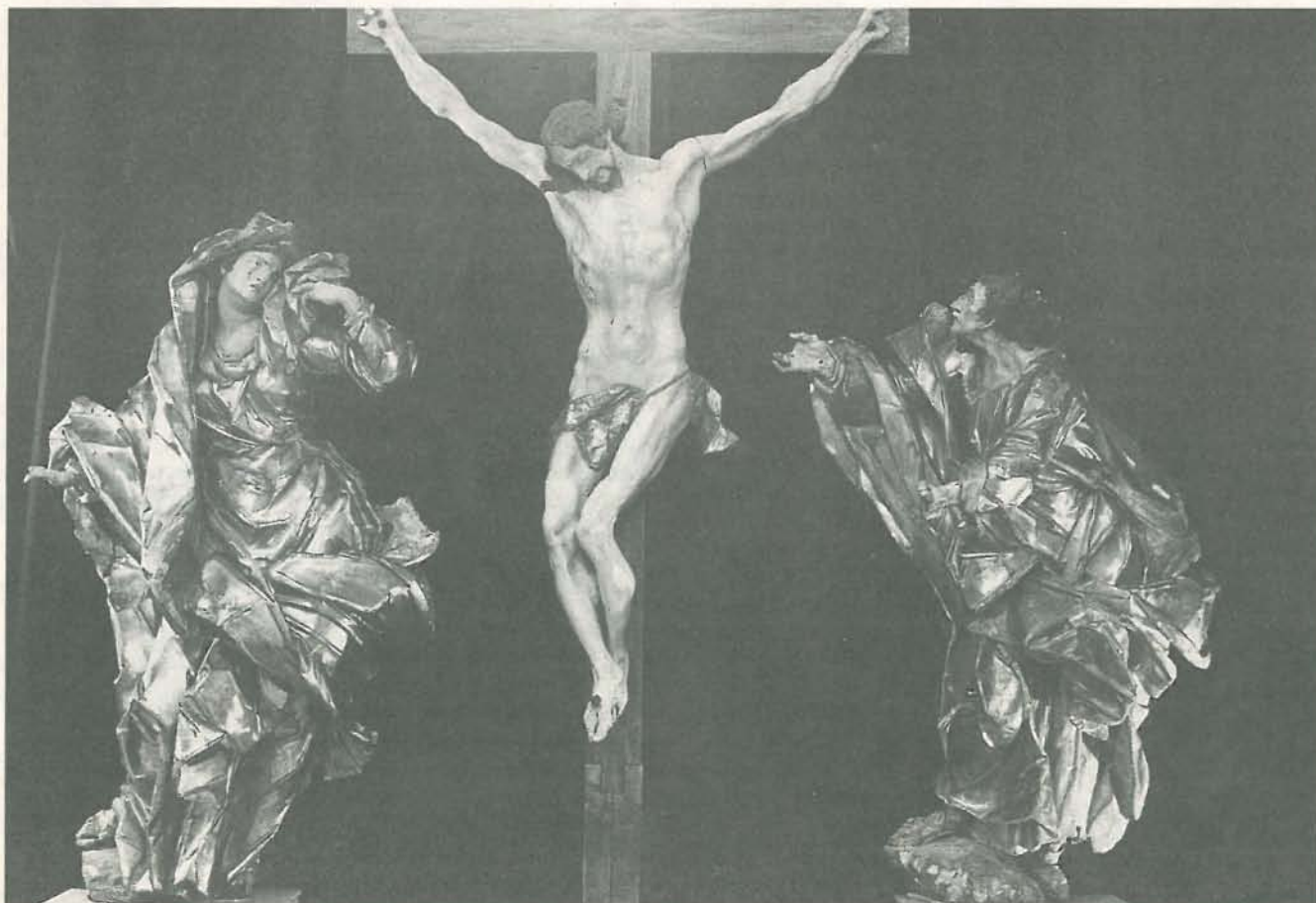
jedną z najwspanialszych kart w dziejach sztuki środkowoeuropejskiej — lwowską szkołą rzeźby rokokowej, badań zapoczątkowanych przez polskich uczonych (J. Błoż-Antoniewicz, A. Bochnak, T. Mańkowski, Z. Hornung) jeszcze na początku naszego stulecia.

Prezentowana we Wrocławiu wystawa powstała w swym zasadniczym kształcie w 1987 r. i została udostępniona w salach zamku w Olesku, stając się znaczącym wydarzeniem kulturalnym. Rok później przeniesiono ją do Moskwy, a następnie do Pragi, gdzie wzbudziła ogromne i zrozumiałe zainteresowanie historyków sztuki. Od kwietnia do sierpnia 1990 r. rzeźby Mistrza Pinzla podziwiać mogła w wilanowskiej Oranżerii publiczność warszawska.

Osoba twórcy prezentowanych na wystawie dzieł do dziś — mimo wysiłków badaczy — pozostaje zagadką i tajemniczą. Nadal bowiem nie udało się odnaleźć materiałów archiwalnych, które rzuciłyby jaśniejsze światło na jego życie i twórczość. Nie znamy nawet imienia artysty i nie wiemy skąd pochodził, choć brzmienie nazwiska wskazywać by mogło na niemiecki obszar językowy. Jednakże na podstawie niewielu istniejących śladów oraz analizy dzieł rzeźbiarza udało się historykom sztuki odtworzyć w przybliżeniu jego artystyczną drogę. Wiadomo zatem, że tworzył w latach ok. 1740—1770 pod protektorem sławnego starosty kaniowskiego, Mikołaja Potockiego, legendarnej postaci wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, awanturnika i hulaki, a jednocześnie największego mecenasa sztuk na tamtych terenach, fundatora wspaniałych świątyń i ich rzeźbiar-

Grupa Ukrzyżowania (k. lat 50-tych XVIII w.)

Kościół w Hodowicy, ołtarz główny fot. Adam Baran





Sw. Joachim (1752—1755?)
Kościół w Horodence, ołtarz główny

fol. Adam Baran



Nieznany święty (lata 60-te XVIII w.)
Kościół Sw. Marcina we Lwowie, ołtarz główny

fol. Adam Baran

skiego wystroju, zatrudniającego do swych przedsięwzięć tak wybitnych twórców, jak największy lwowski architekt Bernard Meretyn czy też Mistrz Pinzel. Artysta, znany przede wszystkim jako snycerz, pierwsze swe dzieła stworzył w kamieniu, wykonując posągi dekorujące wznoszone przez Meretyna budowle — ratusz w Buczaczu i katedrę unicką Sw. Jura we Lwowie. Następne jego dzieła to już wykonane w drewnie wielkie zespoły ołtarzowe z kościołów w Horodence i Hodowicy, Buczaczu, Monasterzyskach, Nawarii i Budzanowie, rzeźby z kaplicy w Mariampolu, z klasztoru w Sasiadowicach, z kościoła Sw. Marcina we Lwowie, czy wreszcie rzeźby i reliefy z cerkwi Sw. Pokrowy w Buczaczu. Fragmenty tych zespołów rzeźbiarskich możemy podziwiać na wystawie, która w swej wrocławskiej wersji wzbogacona została o niedawno zidentyfikowany, a dotychczas uważany za zaginiony krucyfiks procesyjny z Hodowicy, obecnie przechowywany w Muzeum Archidiecezjalnym we Wrocławiu.

Twórczość Mistrza Pinzla, mieszcząca się w kręgu oddziaływania sztuki południowoniemieckiej, wyróżnia się na tle współczesnej sobie rzeźby epoki rokoka szczególną ekspresją i dramatyzmem przedstawień. Dynamika konwulsyjnie wygiętych ciał, ukazanych z całym naturalizmem napiętych mięśni, ścięgien i żył potęgowana jest poprzez pełne wyrazu traktowanie draperii, skłębionych niespokojnie wokół postaci, nieraz stanowiących wręcz samodzielny element plastyczny, modelowanych śmiało za pomocą dużych płaszczyzn ograniczonych wyraźnymi, ostrymi krawędziami. W recenzji z wystawy wilanowskiej, opublikowanej przez Jana K. Ostrowskiego w „Tygodniku Powszechnym”, autor zarzuca Pinzlowi brak

znajomości anatomii, pisząc: „Jego słabszą stroną była anatomia, w której naturalizm szczegółu i graniczące niekiedy z manierą dążenia ekspresyjne kryją brak głębszej wiedzy”. Trudno jednak zgodzić się z tą opinią i wręcz wydaje się, że u podstaw świadomej deformacji służącej artyście do uzyskania pożądanego efektu leży właśnie doskonała znajomość anatomii, która na przykład w przejmujących wizerunkach ukrzyżowanego Chrystusa pozwala z kliniczną dokładnością odtworzyć przedśmiertny skurcz mięśni. Również twarze postaci wyrażają pełnię dramatyzmu i głębi przeżyć malujących się na charakterystycznych obliczach o orlich nosach, mocno wysklepionych łukach brwiowych i wydatnych kościach policzkowych. O wielkim mistrzostwie artysty świadczy umiejętność bezbłędного komponowania wielopostaciowych grup rzeźbiarskich. Pod pozorną teatralnością przedstawień kryje się wielka siła i wewnętrzne napięcie pomiędzy postaciami, które przyciągając uwagę widza, kieruje ją ku centralnemu punktowi kompozycji. Największy też podziw budzi niebywała biegłość warsztatowa artysty, doskonale widoczna znakomita znajomość materiału i absolutne opanowanie techniki.

Ta przebogata w formy i treści ekspozycja nabiera dodatkowego wyrazu we wnętrzu pobernardyńskiego kościoła, w którym jest prezentowana, i wyjątkowo dobrze współgra z jego surową, późnogotycką architekturą.

Dobrze się stało, że dzięki tej wystawie dane jest nam obcować z prawdziwie wielką sztuką, która cudem niemal uniknęła całkowitej zagłady, a która niewątpliwie nie dość jeszcze doceniana, nie zajmuje należnego jej miejsca na tle sztuki europejskiej.

KAROL PASZKIEWICZ

Pamięci mojego przyjaciela Alojzego Urbusia i innych zesłańców

Urodziłem się 14 IV 1913 r. we Lwowie. Jestem absolwentem Politechniki Lwowskiej, mieszkam w Buenos Aires w Argentynie. Mój przyjaciel, inżynier-elektromechanik Alojzy Urbus, urodził się w grudniu 1911 r. w Cieszynie. Był asystentem w Katedrze Elektromechaniki Politechniki Lwowskiej u prof. Sokolnickiego (lub Sokolowskiego). W latach 1937–1938 odbył skróconą czynną służbę wojskową. Kurs podchorążych rezerwy w Centrum Wyszczolenia Saperów w Modlinie ukończył z pierwszą lokatą. W czerwcu 1939 r. został zmobilizowany do stacjonującego w Przemyślu 4 batalionu zmotoryzowanego saperów 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej.

Jesienią 1939 r. wspólnie z A. Urbusem i Edwardem Ziębą usiłowaliśmy przekroczyć granicę węgiersko-polską. We wsi Hutar, w okolicach Skolego, złapali nas Ukraińcy współpracujący ze służbą graniczną Związku Radzieckiego i przekazali do siedziby NKWD w pałacu barona Groedla w Skolem. Po wstępnych przesłuchaniach zostaliśmy przekazani do więzienia w Stanisławowie. W celi przeznaczonej dla jednej osoby umieszczono 15 więźniów. Każdej nocy jeden z nas z powodu braku miejsca musiał siedzieć na muszli klozetowej. Pozostali, oparci o przeciwległe ściany, siedzieli lub leżeli na podłodze. Z okresu pobytu w stanisławowskim więzieniu zapamiętałem nazwisko zawodowego podoficera lotnictwa — Szmid, miał wówczas około 50 lat.

Ze Stanisławowa zostaliśmy przewiezieni do tzw. Brygidki przy ul. Kaźmierzowskiej we Lwowie. W celi przebywałem razem z Edwardem Ziębą oraz płk. Strończakiem i komisarzem Dworzakiem (oba z Łucka), dentystą ze Lwowa — Rotem i jego bratem stryjczym adwokatem Margulesem, braćmi stryjczymi Messer z Krakowa (jeden z nich był artystą malarzem), Janem Dziaduchem ze Lwowa, bratem Mariana Hemara — dr. Heszlesem, redaktorem gazety „Chwila”. A. Urbus przebywał w innej celi. Po okresie intensywnych przesłuchań w lutym lub w marcu 1940 r. zostaliśmy odstawieni na lwowski Dworzec Towarowy, tzw. Czerniowiecki, gdzie załadowano nas do wagonów transportu zwierzęcego. W naszym wagonie było 24 więźniów, między innymi: A. Urbus, płk Piątkowski — do wybuchu wojny dyrektor Państwowej Stadniny Koni w Janowie Podlaskim, mjr dr Kelle, późniejszy żołnierz II korpusu. W nocy konwojowany pociąg, liczący ok. 500 więźniów, ruszył na wschód. Po kilku dobach jazdy zostaliśmy odstawieni do zamienionego na więzienie monastynu w Nikołajewie nad Dnieprem. W naszej sali było ponad 120 więźniów, m.in.: inżynierowie Adam Wisiński, Z. Stefański, nasz kolega Rudolf Kullman, Tomanek — dyrektor kłórejś śląskiej kopalni węgla oraz nauczyciel Wróblewski, lwowski adwokat Unger, adwokat z krakowskiego Michał Korzennik, dr Lenkiewicz i matematyk Rejman z Krakowa, student V roku medycyny Robert Szmelc z Cieszyna, M. Passenkiewicz — późniejszy lekarz, który obecnie mieszka w Urugwaju.

W czerwcu 1940 r. dokładnie od dnia upadku Francji, jakby na umówiony sygnał, rozpoczęły się procesy, podczas których otrzymaliśmy wszyscy wyroki skazujące na deportację. O wysokości wymiaru kary decydowały: narodowość, wyznanie, wiek, narodowość ojca (jeżeli był Polakiem to z pewnością był legionistą, antyrewolucjonistą i brał udział w wojnie 1920 r.). Poważnie obciążającymi okolicznościami były również: znajomość języków obcych, fakt zmobilizowania w 1939 r. oraz posiadanie majątku. Wymiar kary wynosił od 7,5 do 13 lat obozu pracy. Po otrzymaniu wyroków nocnymi transportami byliśmy więzieni na północ.

Nasza droga lądowa zakończyła się w porcie drzewnym Archangielsk. W miejscowym obozie przejściowym spośród ok. 200 000 więźniów różnej narodowości około 95% stanowili Polacy. Mieszkaliśmy w szopach. Po kilku dniach zostaliśmy załadowani na cieszący się złą sławą, od 1920 r. służący tylko do przewozu dużej liczby więźniów, statek „Stiepan Chalturin”. Na piętrowych przyczepach, tzw. narach, stłoczono ok. 4000 więźniów. Poprzeczna wysokość piętra wynosiła 40 cm. Trudno dziś opisać dantejskie sceny, jakie działy się w latrynach, w czasie wydawania słodkiej wody oraz posiłków, które otrzymywaliśmy jeden raz dziennie. Podczas naszego rejsu zorganizowała się banda złożona z Rosjan kryminalistów, nazywano ich „żulio-żuliki”, którzy obrabowali i zamordowali dwóch Polaków. Strażnicy rozpoczęli likwidację żulików przez strzelanie do wybranych na „chybił-trafił” więźniów. Zwłoki zastrzelonych były wrzucane do morza, „przy okazji” około 30 więźniów zostało żywcem wyrzuconych za burtę. Komendantura lagrów z Wysp Solowieckich odmówiła przyjęcia naszego transportu, w tej sytuacji „Stiepan Chalturin” został skierowany na wschód do portu Narjen-Mar, gdzie ze statku przeszliśmy na barki ciągnięte przez parowy holownik. Alojzy Urbus został skierowany na inną barkę niż ja, i wówczas widziałem go ostatni raz.

Płynęliśmy przez kilka kolejnych dni i nocy na południe w górę biegu rzeki Peczory. Co pewien czas byliśmy wysadzani na ląd, gdyż istniała potrzeba uzupełnienia paliwa (kłód drewna) na potrzeby parowej kotłowni holownika. Na każdym postoju na brzegu pozostawiani byli nasi towarzysze wspólnej niedoli, zmarli na krwawą dyzenterię. Pod koniec października 1940 r. dotarliśmy na teren Autonomicznej Republiki Komi. Daleszą drogę odbywaliśmy marszem, brnąc przez śnieżne zaspę. Po 11 dniach dotarliśmy do miejscowości Avis (Awis). Z naszej liczącej 1500 osób grupy, tzw. eszelonu, w czasie marszu strażnicy zastrzelili 17 więźniów, którzy nie wytrzymali jego tempa. Zwłokami tych nieszczęśników zaopiekowały się stada wilków. Lasy, przez które brnęliśmy, zamieszkałe były przez lud zwany Samojedami — pasterzy reniferów, którzy często spełniali funkcje dozoru i brali udział w pościgach za ewentualnymi uciekinierami. Za dostarczenie żywych lub zmarłych zbiegów wynagradzano ich przydziałem żywności.

W Avisie zostaliśmy załadowani na platformy kolejowe tzw. lory, które przedtem napelniono szutrem. Po całodziennym jeździe dotarliśmy na miejsce przeznaczenia, którym był stary opuszczony obóz, składający się ze zniszczonych baraków-ziemianek. Po dokonaniu prowizorycznej naprawy i zebraniu mchu na wyścielenie przycz zostaliśmy podzieleni na grupy robocze i otrzymaliśmy narzędzia pracy: łopaty, kilofy, siekiery. Każdego dnia po śniadaniu, które złożone było z chleba i herbaty („zawarki”) z ziół i suszonej borówki, bez względu na porę roku o godzinie 5 rano ładowano nas na lory z szutrem i jechaliśmy do pracy. Budowaliśmy linię kolejową i prowadziliśmy wyrąb lasu (sosny dochodziły do 80 m wysokości). Odziani byliśmy w mocno zużyte ubiory, uzupełniane przez obdzieranie zmarłych kolegów.

Na nogach mieliśmy tzw. czeczete, wykonane z kawałków zużytych opon samochodowych przytwierdzonych za pomocą drutów i sznurków do stóp. W takich warunkach więźniowie szybko zapadali na zdrowiu i umierali. Pracujący przy budowie toru kolejowego — „podjomie żelaznej puli” — dodatkowo ginęli zabijani własnoręcznie przez płk. NKWD Bolszakowa — naczelnika robót kolejowych na odcinku Avis-Workuta. Bez chwili wahania strzelał on do każdego, kto oparł się o łopatę. Po buncie więźniów w łagrach północy, na podstawie rozkazu wydanego w Moskwie, płk Bolszakow został rozstrzelany. Wydaje się, że w Moskwie postanowiono poświęcić jednego z najbardziej wiernych siepaczy, gdyż trzeba było w ten sposób ratować autorytet „dobrego ojca Stalina”, który rzekomo nie wiedział o sposobie traktowania skazańców.

W takich warunkach dożyliśmy do czerwca 1941 r., gdy wybuchła wojna pomiędzy Niemcami i ZSRR. Po podpisaniu umowy pomiędzy Rządem Polskim na emigracji i rządem ZSRR (układ Sikorski — Majski), miejscowe władze radzieckie zaczęły kierować wielkie grupy Polaków do Azji Centralnej. Była to trudna droga ze względu na stan zdrowia ludzi oraz spowodowaną działaniami wojennymi dezorganizację radzieckiego transportu kolejowego. Wreszcie i my dotarliśmy do Armii Polskiej w ZSRR organizowanej przez gen. Władysława Andersa. Tu spotkałem człowieka, który był

świadkiem śmierci A. Urbusia. Mój przyjaciel zmarł w tzw. „Sanitarnom Gorodkie” w Ust-Usa na skutek krwawej dyzenterii i zapoczątkowanej pelagry (choroba jest spowodowana brakiem witamin, głównie witaminy C, występuje na terenie Azji).

Z pobytu w łagrach pamiętam jeszcze następujących Polaków: Baranowski lub Barański — sierżant podchorąży ze Szkoły Podchorążych Zawodowych Kawalerii w Grudziądzu, Błyszyński ze Lwowa — stracił zmysły i zmarł w kolonii 92/93, w podobnych okolicznościach zmarł Szeptycki — syn generała i bratanek metropolity wyznania greckokatolickiego, Halejko — zawodowy sierżant WP, bracia Kalarus z Bielska-Białej, Kimerling — technik z sanockiej fabryki wagonów, por. WP Sokolnicki — więzień w kolonii 92/93. Posiadam spis innych współtowarzyszy niedoli.

W latach 1965—1970 w gazetach zachodnich i argentyńskich (dzienniki „Clarín” i „La Nación”) pojawiły się anonse, że na wybrzeżu norweskim lub szwedzkim rybacy znaleźli butelkę, w której została przekazana tragiczna wiadomość napisana przez polskiego oficera: „oddając duszę Bogu i pożegnanie bliskim (fragment tekstu nieczytelny) znajduje się na statku około 1500 ludzi, którzy po wylądowaniu obsługi rosyjskiej i strażników, marynarzy zatapiający jest przez artylerię kanonierki rosyjskiej”. W prasie argentyńskiej notatka ta była pozbawiona komentarza.

W okresie od 12 VII do 16 X 1990 r. na stypendium dla p. Ireny Czystowskiej wpłynęły następujące kwoty:

1. Stanisława Seniuk ul. Asnyka 7 Bystrzyca Kłodzka	5000		
2. Mieczysław Bratkowski ul. Targowa 25/7 82-065 Krzeszowice	20 000	18. Aniela Kelar ul. 3 Maja 47/8 Zabrze	20 000
3. Danuta Czyżewska-Chmielnikowska Skwer Kościuszki 17/19 nr 18 81-370 Gliwice	100 000	19. Czesława (nazwisko nieczytelne) ul. Dąbrowska 5/15 25-521 Kielce	20 000
4. Józef Orzechowski ul. Działkowa 32 32-510 Jaworzno	20 000	20. Bożena Zawirska ul. Marcinkowskiego 1 50-368 Wrocław	10 000
5. Stanisław Krzeszowski ul. Podolska 14/3 60-615 Poznań	20 000	21. Helena Nycz ul. Nietoperek 7 66-305 Kaława	20 000
6. Adam Andrzejak ul. Chopina 24—32/12 30-079 Kraków	150 000	22. Stefan Cieśla ul. Kossaka 2/4 41-902 Bytom	40 000
7. Władysław Kochanowski ul. Walecznych 64/51 03-926 Warszawa	120 000	23. dr med. Józef Juzwa ul. Roosevelta 43 Bytom	650 000
8. Stanisław Papkowski ul. Powstańców Wielkopolskich 38 87-100 Toruń	10 000	24. Anna Słezak ul. Moniuszki 10/2 48-200 Prudnik	20 000
9. Wojciech Szkudlarz ul. Jeżycka 48/111 60-865 Poznań	50 000	25. Józef (nazwisko nieczytelne) ul. Niedźwiedzia 53/3 Wrocław	100 000
10. Ludwik Klonowski ul. Krasieńskiego 8/2 38-200 Jasło	30 000	26. Wanda Wierzbicka ul. Wojska Polskiego 17/6 75-701 Koszalin	120 000
11. Eugeniusz Kościelny Rynek 22/4 Legnica	100 000	27. Kazimierz Matejka ul. Maszynowa 8a Warszawa	75 000
12. Wojciech Spólnik ul. W. Pola 8/2 38-200 Jasło	60 000	28. Zygmunt Resiak ul. Skłodowskiej 13 Mysłowice-Kosztory	200 000
13. Jerzy Załucki ul. Powstańców Śląskich 112/6 Wrocław	50 000	29. Jarosław Leszczyński Os. Barwinek 2/5 25-311 Kielce	5000
14. Kazimiera Koziół 20-201 Lublin	100 000	30. WPPH „KARMET” ul. Piaskowa 12 Wysogotowo k/Poznań	1 000 000
15. Kazimierz Chmiel ul. Koncertowa 7a/17 20-843 Lublin	12 000	31. Ludwik Klonowski ul. Krasieńskiego 8/2 Jasło	90 000
16. ks. Edward Walewander ul. Królewska 8/5 20-109 Lublin	100 000	32. J. Z. Kamieński 40 Homewood Avenue Toronto, Kanada	180 000
17. Maria Januszewska ul. Opolska 1a/8 44-100 Gliwice	30 000	33. Katarzyna Czajkowska ul. Oficerska 6/48 38-400 Krosno	20 000

SAGI RODÓW KRESOWYCH

HENRYK STANIUK

Ród Tomaszewskich

Dzieje rodu Tomaszewskich z Dębownicy w gminie Kustyn, pow. Radziechów, woj. Tarnopol obejmują lata 1770—1984. Podstawą do opracowania sagi jest kronika: Jan Tomaszewski „Rodzina Marcina i Tekli Tomaszewskich z Dębownicy”, Kraków—Prudnik—Brzeg 1984, która składa się z: wprowadzenia autora, wstępu, ośmiu opisów poszczególnych gałęzi rodu, zakończenia i uzupełnień. Ogółem źródło liczy: 126 stron maszynopisu, zawiera 61 zdjęć przedstawiających osoby, obiekty lub sytuacje rodzinne, 20 dokumentów urzędowych, 4 wycinki z prasy, 3 fragmenty map, 2 tablice genealogiczne oraz plan zabudowań mieszkalnych i gospodarskich. W opisowej części kroniki mamy do czynienia z solidną pracą badawczą, która miała na celu zaprezentowanie indywidualnych losów poszczególnych członków rodu. Możemy śledzić zwykłe ludzkie radości i smutki, jak również okrutne zdarzenia z okresu pozostawania rodziny pod okupacją radziecką i niemiecką. Zgromadzony materiał fotograficzny w znacznym stopniu pozwala odtworzyć życie codzienne rodzin chłopskich w Małopolsce Wschodniej oraz odnieść się do rzeczywistego przebiegu procesu tzw. repatriacji i zasiedlania ziem odzyskanych po zakończeniu II wojny światowej. Prezentowany poniżej opis dziejów rodziny Tomaszewskich został skrócony, gdyż w przekonaniu redaktora istnieje potrzeba zachowania dystansu czasowego pomiędzy przedstawicielami pokolenia urodzonymi jeszcze za Bugiem i członkami rodu, którzy urodzili się w powojennej Polsce. Śródtytuły występujące w treści opracowania pochodzą od redaktora.

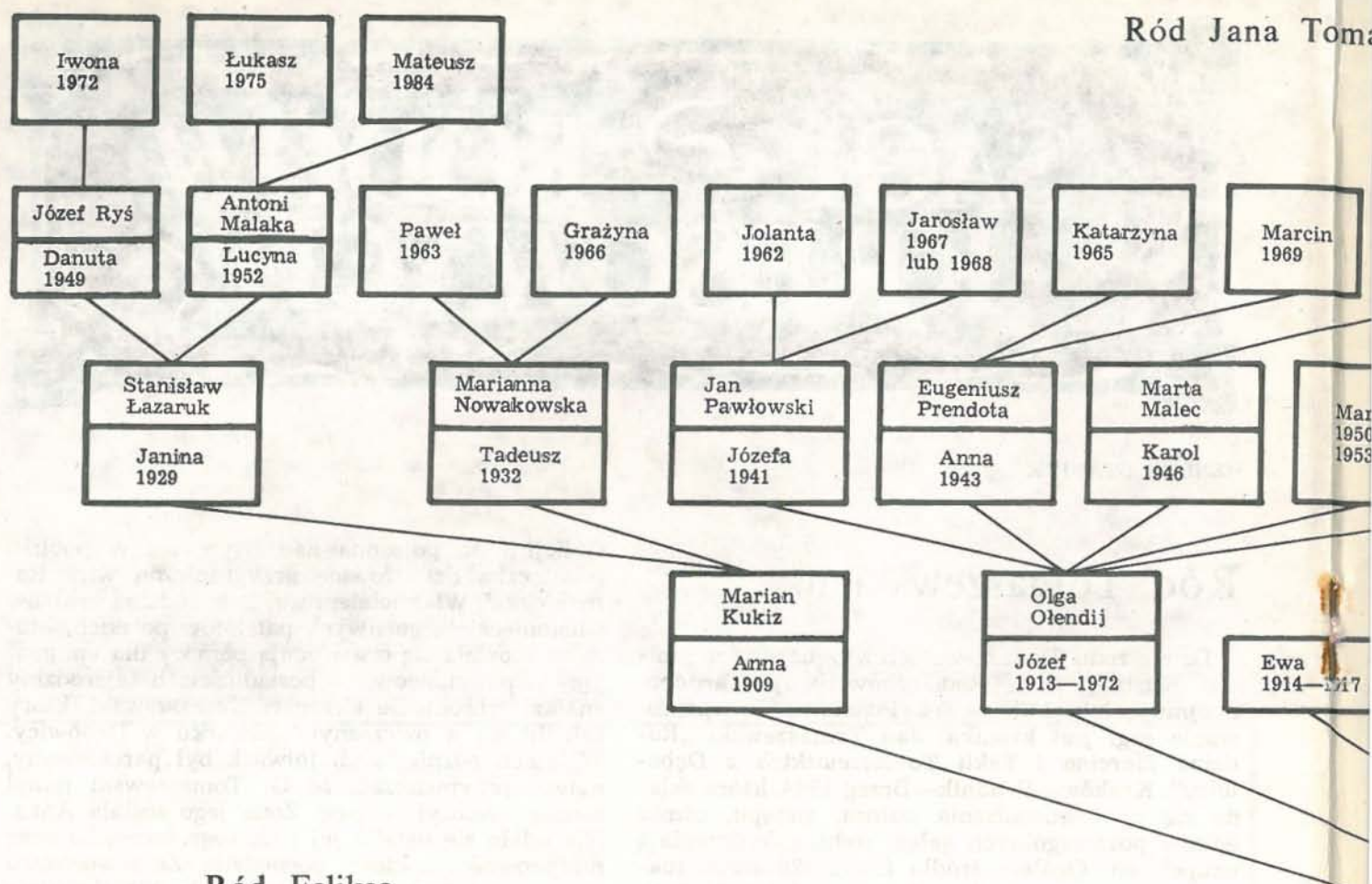
1770—1936

Na podstawie informacji, które były przekazywane z pokolenia na pokolenie oraz zapisów w księgach urodzeń i zgonów parafii rzymskokatolickiej w Szczurowicach autorzy kroniki ustalili¹, że protoplastą rodu jest uczestnik powstania kościuszkowskiego Grzegorz Tomaszewski (1770—19 I 1841). Po upadku powstania, prawdopodobnie w 1794 r. w obawie przed spodziewaną falą represji został zmuszony do emigracji z ziem zaboru rosyjskiego. Jednym z punktów przezutowych do

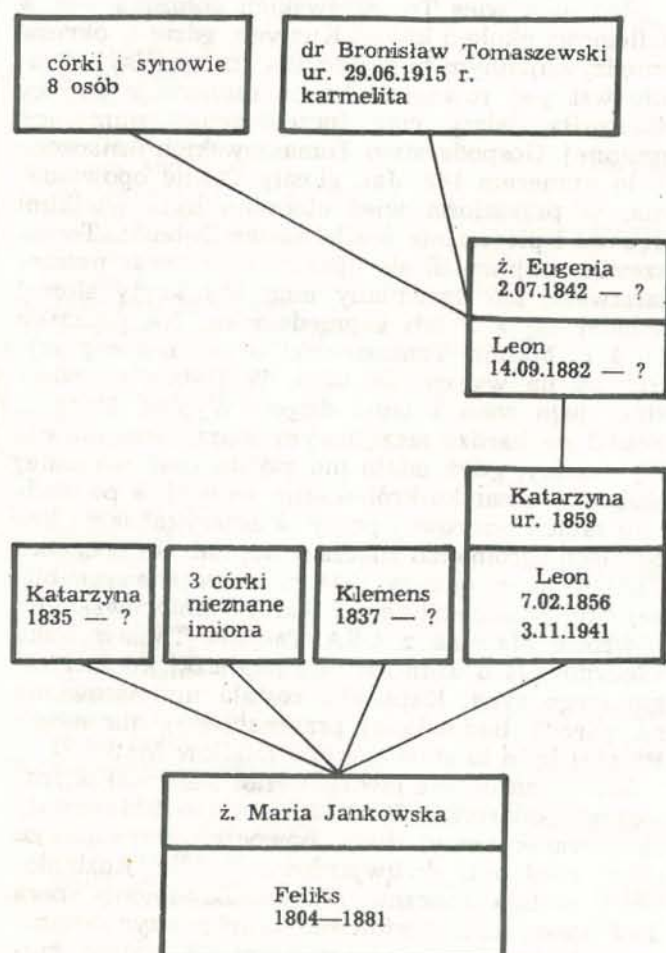
Galicji była położona nad Styrem i w pobliżu miasteczka Szczurowice przygraniczna wieś Romanówka². Właścicielem wsi była rodzina hrabiów Chołoneckich, gorliwych patriotów polskich, która zajmowała się organizacją pomocy dla emigrujących powstańców. W posiadłościach tej rodziny znalazł schronienie Grzegorz Tomaszewski, który osiedlił się w ówczesnym folwarku w Dębownicy. W latach późniejszych folwark był parcelowany, należy przypuszczać, że G. Tomaszewski nabył ziemię i założył rodzinę. Żoną jego została Anna. Nie udało się ustalić jej rodowego nazwiska oraz miejscowości, z której pochodziła. Ze stosunkowo dużą pewnością można sądzić, że małżonkowie Anna i Grzegorz Tomaszewscy mieli trzech synów: Feliksa, Jakuba i Leona.

Rodzinna wieś Tomaszewskich położona jest w odległości około 5 km od Kustyna, gdzie w okresie międzywojennym była siedzibą gminy. Usytuowanie wsi jest równoleżnikowe, numeracja domów stanowiła dalszy ciąg (przedłużenie) numeracji gminnej. Gospodarstwo Tomaszewskich oznaczone było numerem 148. Jak głosiły dawne opowiadania, w przeszłości wieś otoczona była wielkimi dębami i pierwotnie nosiła nazwę Dębniaki. Tomaszewscy zajmowali się uprawą ziemi oraz pszczerstwem, ich drewniany dom był kryty słomą, składał się z 2 izb i przedsionka. Na początku 1914 r. Marcin Tomaszewski uzyskał akceptację rodziny na wyjazd do USA. W Dębownicy pozostała jego żona i troje dzieci. Wyjazd Marcina okazał się bardzo szczęśliwym zdarzeniem dla całej rodziny, gdyż udało mu się uniknąć wojennej służby w cesarsko-królewskim wojsku, a po siedmiu latach wzorowej pracy w amerykańskich kopalniach zgromadził znaczący kapitał. Na początku działań wojennych w 1914 r. w nie znanych bliżej okolicznościach zginął Karol Tomaszewski. Po powrocie Marcina z USA Tacjana Tomaszewska zdecydowała o ufundowaniu kapliczki ku czci zaginionego syna. Kapliczka została umiejscowiona na parceli budowlanej przeznaczonej dla niego. Później było to stałe miejsce modłów Matki.

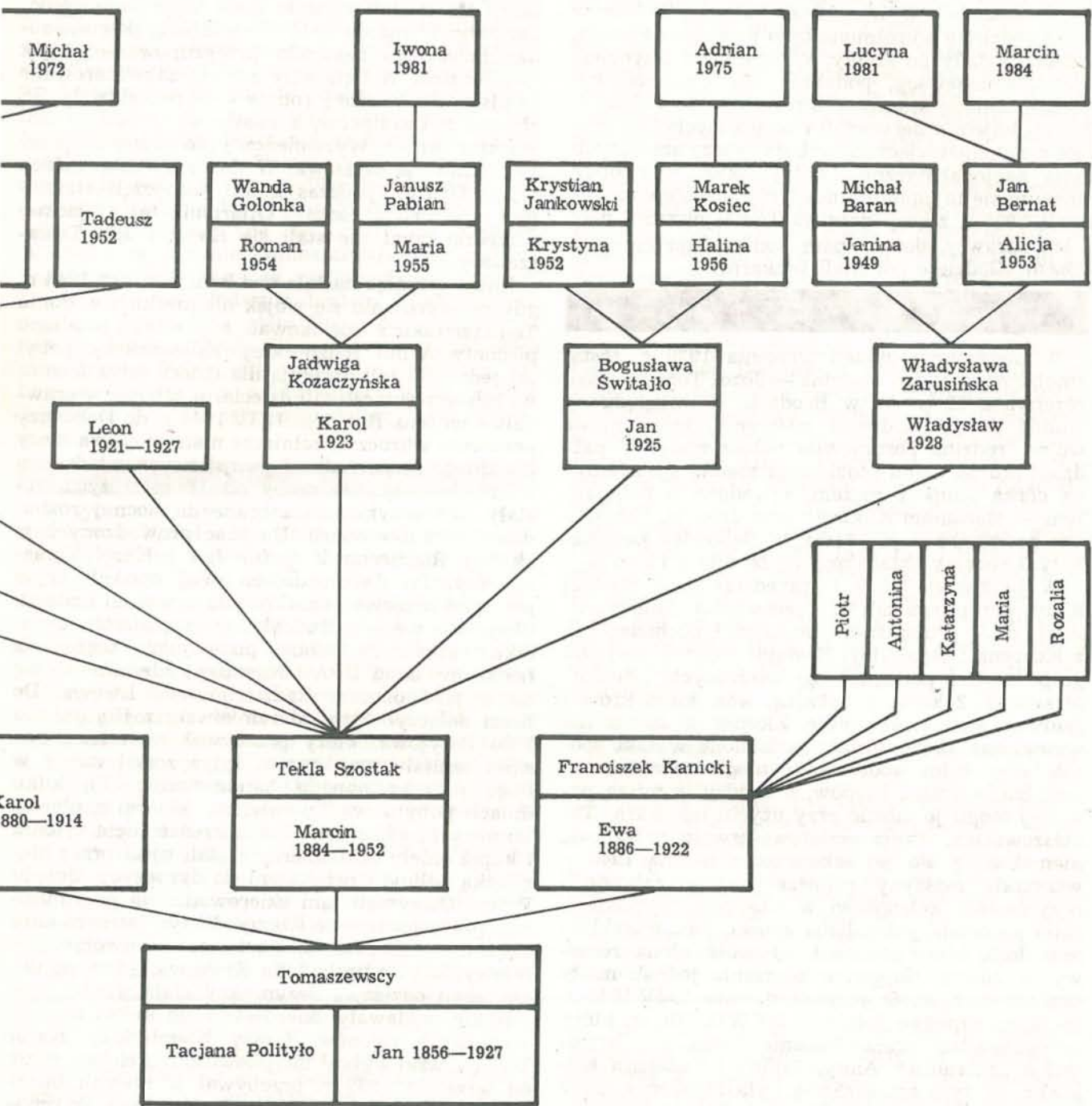
Marcin zarobione pieniądze zainwestował w rozwój gospodarstwa. W latach 1921—1924 zostały zbudowane: nowy, duży, nowoczesny i funkcjonalny dom oraz dwuwieżowa stodoła. Rozbudowana została znacznie stajnia. Zakupiono sporą ilość ziemi, łąki, torfowisko oraz maszyny rolnicze: młockarnię z wytrząsaczami i kieratem, zni-



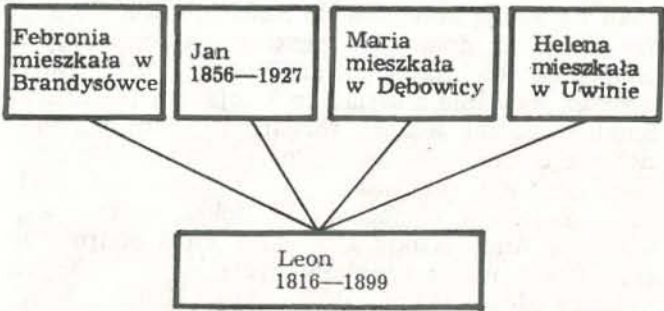
Ród Feliksa



* W 1860 r. po śmierci córki Wiktorii prawdopodobnie wygasła linia Jakuba.



Ród Leona w pierwszej linii



* Jan Tomaszewski urodził się w Dębownicy i tu stałe mieszkał. Pierwszy raz ożenił się z Gaborówną z Kustyna, która umarła wkrótce po ślubie. Drugą żoną Jana została Tacjana z domu Polityło z Laszkowa.

wiarę i siewnik. Było to jedyne gospodarstwo w Dębicy wyposażone w tego rodzaju maszyny. Do prac w gospodarstwie domowym oraz w polu zostało zatrudnionych na stałe dwoje ludzi. Siłę pociagową stanowiły 2 pary koni. Oprócz znakomicie prosperującego gospodarstwa Tomaszewscy byli właścicielami wiejskiego sklepu. Codzienne życie rodzinne wypełnione było intensywną pracą, dzieci chodziły do szkoły. W końcu lat trzydziestych Tomaszewscy, podobnie jak inne rodziny, odczuli zmianę stosunku Ukraińców do Polaków. Z niepokojem obserwowali rosnącą niechęć i skrytość oraz pojawiających się bojówkarzy szerzących hasła nacjonalistyczne i antypolskie⁸. W okolicy mnożyły się tajemnicze incydenty przestępcze. Jesienią 1938 r. z gospodarstwa Tomaszewskich nieznanymi sprawcami skradli parę koni z zaprzęgiem i wozem. Złodzieje pozostali bezkarni.

1939—1946

W pierwszych dniach września 1939 r. został zmobilizowany syn Marcina — Józef Tomaszewski, rezerwista 22 p. uł. w Brodach. Ze względu na trudne do przewidzenia zdarzenia, które niosła wojna, rodzina postanowiła połączyć się. W październiku do domu rodzinnego została sprowadzona córka Anna z mężem, zawodowym policjantem — Marianem Kukizem oraz dziećmi. Szczęśliwie powrócił z wojny Józef. W Dębownicy zamieszkały 3 rodziny składające się łącznie z 11 osób.

W listopadzie 1939 r. przedstawiciele Siłskiej Rady przyprowadzili do posiadłości Tomaszewskich dużą grupę tzw. „biednych” pochodzących z Kustyna i Dębownicy. Nastąpił rozdział majątku gospodarstwa pomiędzy zgromadzonych. „Biedni” otrzymali: 2 konie z uprzężą, wóz, kilka krów i jałówek, świnie oraz owce. Złożone w stercie nie wymłócone zboże zostało podzielone w taki sposób, aby jedni obdarowani mogli zabrać sobie przydzieloną ilość snopów, a drudzy w miarę potrzeby mogli je młócić przy użyciu młockarni Tomaszewskich. Akcja omłotowa trwała przez całą niemal zimę. Po jej zakończeniu wiosną 1940 r. wszystkie maszyny rolnicze zostały zabrane i przydzielone kołchozowi w Kustynie. Tomaszewskim pozostała jedna licha krowa, dwa warchlaki oraz koń, który stanowił własność ułana rezerwy — Józefa. Najgorsze zdarzenia jednak miały dopiero nadejść. O godzinie 4 rano 13 IV 1940 r. do domu zapukali żołnierze NKWD. Oficer, który przeprowadzał przeszukiwanie domu, poinformował o „zabraniu”: Anny, Janiny i Tadeusza Kukizów. W tym czasie Anna była nieobecna, gdyż poprzedniego dnia poszła odwiedzić uwięzionego w Łopatynie męża Mariana. Jedenastoletnia Janina i ośmioletni Tadeusz wraz z zapakowanymi naprędce tobołkami zostali załadowani na podstawiony wóz i pod eskortą dwóch żołnierzy pojechali na stację kolejową do Radziechowa. Po drodze do dzieci dołączyła aresztowana wcześniej w Łopatynie ich matka Anna Kukiz. Józef Tomaszewski wspólnie z sąsiadem Łucjanem (Łuckiem) Smalem zdołał jeszcze zorganizować oraz podać siostrze trochę prowiantu. Po upływie dwóch miesięcy rodzina otrzymała list z dalekiego Majkainu-Zołoto w Kazachstanie, dokąd została wywieziona Anna Kukiz z dziećmi. Opis podróży w głąb Rosji oraz warunków życia deportowanych wymaga oddzielnej publikacji. Anna Kukiz z dziećmi wróciła do Polski 29 VI 1946 r. Marian Kukiz

w bliżej nie znanych okolicznościach zmarł w lwowskim więzieniu⁹.

Wraz z upływem kolejnych lat wojny życie w Dębownicy było pełne napięć i niepokoju. W okolicznych wsiach bandy UPA systematycznie dokonywały straszliwych mordów na ludności polskiej. Materialne warunki życia także stały się pogarszały. W marcu 1944 r. na terenie powiatu radziechowskiego nastąpiło przegrupowanie wojsk niemieckich. W Dębownicy zostały zakwaterowane „wojska do brudnej roboty” — pododdziały SS złożone z Ukraińców, a następnie Gruzini z Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej dowodzonej przez gen. Andrieja Własowa. W domu Tomaszewskich pijani Gruzini podczas kłótni rozpoczęli strzelaninę pomiędzy sobą. Ofiarami tej pijackiej sprzeczki omal nie stali się Karol i Jan Tomaszewscy.

Nowa sytuacja nastąpiła pod koniec marca 1944 r., gdy po wycofaniu się wojsk niemieckich w domu Tomaszewskich rozlokował się sztab batalionu piechoty Armii Radzieckiej. Kilkudniowy pobyt tej jednostki był atrakcją dla dzieci, gdyż frontowi żołnierze umożliwili dzieciarni zabawę w prawdziwe wojsko. Rankiem 19 IV 1944 r. do Dębownicy ponownie wkroczyli żołnierze niemieccy. Na mocy doraźnego rozporządzenia wojskowych władz niemieckich wszystkie osoby od 16 roku życia zostały pod przymusem zabrane do nocnej rozbudowy punktów oporu. Do prac prowadzonych w okolicy Radziechowa trafili Jan i Karol Tomaszewscy. Po dwóch dniach obaj opuścili rejon prac pod pozorem poszukiwania żywności i zdołali ukryć się we wsi Rudenko w gospodarstwie dalekich krewnych. Wobec podwójnego zagrożenia (ze strony band UPA i Niemców) zdecydowali się na wyjazd poprzez Radziechów do Lwowa. Do braci dołączył Józef Marcinkowski z Haramówki koło Batyjowa, który przebywał w radziechowskim szpitalu wojskowym, gdyż został ranny w nogę podczas napadu banderowców. Po kilku dniach pobytu we Lwowie, na jednym z placów targowych, gdzie usiłowali sprzedać liście tytoniu i kupić chleb, uciekinierzy zostali ujęci przez niemiecką policję i przekazani do dyspozycji Urzędu Pracy. Otrzymali tam skierowania do przymusowej pracy na terenie Rzeszy. W tym samym dniu złapani zostali przetransportowani na dworzec kolejowy, skąd odjechali do Krakowa, gdzie po dezynfekcji odzieży i dezynsekcji ciała władze niemieckie wydawały skierowania do indywidualnie wybranych rejonów Rzeszy Niemieckiej. Karol Tomaszewski wybrał miejscowość Dedeleben, gdzie od września 1939 r. przebywał w niewoli bliski krewny Tomaszewskich Łódzko Nyklewa. Po typowej dla tamtych czasów podróży dotarli do wybranych miejscowości. Bracia Tomaszewscy zostali zatrudnieni w magazynach zbożowych Otto Rehlinga. W tym samym czasie na podstawie niemieckiego nakazu ewakuacji ludności cywilnej ze strefy przyfrontowej Marcin Tomaszewski z dwoma pozostałymi synami: Józefem z jego rodziną i Władysławem, zostali przeniesieni do miejscowości Rudenko. W Dębownicy pomimo zakazu pozostała jego żona Tekla. Narastające trudy życia, często zdarzające się przypadki okradania, a przede wszystkim lawinowo napływające wiadomości o mordowaniu ludności polskiej przez bandy UPA stały się czynnikiem sprawczym, który przyspieszył podjęcie decyzji o wyjeździe rodziny do Polski.

Po licznych przygodach Tomaszewscy dotarli pociągiem ewakuacyjnym ze Stojanowa do Rudnika nad Sanem. W miejscowości tej pozostali do września 1945 r. W międzyczasie w lipcu Józef Tomaszewski wraz z kilkoma znajomymi wybrał się na rekonesans na teren odzyskanych ziem zachodnich. Dotarli do Prudnika. W okolicach tego miasta Józef Tomaszewski nie znalazł odpowiedniego dla siebie gospodarstwa i wrócił do Rudnika nad Sanem. Pomimo niepowodzenia poniesionego w pierwszym rekonesansie zdecydował się jednak na wyjazd wraz z innymi. Ostatecznie Józef osiedlił się na gospodarstwie nr 60 we wsi Jasion koło Prudnika, gdzie Tomaszewscy zamieszkali z niemiecką rodziną Vesper. Wspólne gospodarowanie oraz dzielenie biedy trwało do czerwca 1946 roku, gdy Vesperowie wyjechali do Niemiec. W 1946 r. w Jasionie zamieszkiwały dwie rodziny Tomaszewskich: Józef ze swoją rodziną — ojcem Marcinem i najmłodszym bratem Władysławem, oraz po powrocie z głębi Rosji Anna Kukiz ze swoimi dziećmi. Tekla Tomaszewska pozostawała poza granicą Polski, jak sądzono w Dębownicy, natomiast Karol i Jan przebywający w Niemczech dopiero w grudniu tego roku dołączyli do rodziny w Jasionie.

1947—1984

W życiu rodziny Tomaszewskich nastąpił okres stabilizacji. Karol i Jan kontynuowali naukę rozpoczętą jeszcze w Polskim Gimnazjum i Liceum w Niemczech. Władysław w 1948 r. ożenił się. Podczas uczty weselnej zachorował Marcin Tomaszewski (prawdopodobnie był to wylew krwi do mózgu). W okresie ciężkiej kilkuletniej choroby senior rodu pozostawał pod troskliwą opieką rodziny. Po 4 latach stan zdrowia Marcina znacznie się pogorszył. W końcu listopada 1952 r. rodzina wezwała do chorego pogotowie ratunkowe, w karetce przyjechał człowiek posiadający sfałszowany dyplom lekarza. Oczywiście pseudolekarz nie mógł pomóc choremu. Marcin Tomaszewski zmarł. Jego schorowana żona Tekla po licznych i długich staraniach przyjechała do Polski dopiero w 1955 r. Okazało się, że w 1944 r. budynki gospodarze w Dębownicy spaliły się w czasie działań wojennych. W roku 1951 dom mieszkalny został rozebrany, cegłę zużyto na budowę szkoły. Tekla Tomaszewska od 1951 r. mieszkała u krew-

nych w Kustynie. Serdecznie przyjęta przez dzieci w Polsce żyła jeszcze cztery lata. Dzieci Marcina i Tekli Tomaszewskich usamodzielniały się. Anna Kukiz musiała jeszcze przez kilkanaście lat borykać się z wieloma przeciwnościami losu. Jej dzieci założyły własne rodziny. Karol Tomaszewski poświęcił się karierze naukowej. W 1976 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego nauk technicznych, później kierował Zakładem Teorii Maszyn i Podstaw Automatyki Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie, został wybrany na członka komitetu budowy maszyn PAN. Jego dzieci założyły własne rodziny.

Jan Tomaszewski (główny autor kroniki rodzinnej) został nauczycielem. Awansował w hierarchii stanowisk administracyjnych w oświacie. Był inspektorem szkolnym, później dyrektorem Studium Wychowania Przedszkolnego w Prudniku. Jego dzieci skończyły studia i pozakładały własne rodziny. Władysław Tomaszewski pracował początkowo w zawodzie masarza. W latach pięćdziesiątych ukończył Technikum Weterynaryjne, a następnie podjął studia zaoczne na Wydziale Weterynarii Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu, w 1961 r. otrzymał dyplom lekarza weterynarii. W roku 1972 w Klinice Położniczej Instytutu Chorób Niezakaźnych Wydziału Weterynarii Akademii Rolniczej we Wrocławiu uzyskał stopień doktora nauk weterynarii. Jego córki skończyły studia i wyszły za mąż. W dniu 15 stycznia 1984 r. młodszego z nich: Alicji, zamężnej z Janem Ludwikiem Bernatem, urodził się w Oleśnicy syn Marcin. Na razie jest on najmłodszym z rodu. Kronika rodziny Tomaszewskich w zasadzie kończy się w roku 1984. Wyrażam przekonanie, że będzie kontynuowana.

¹ We wstępie Jan Tomaszewski autorstwo kroniki przypisuje wielu członkom rodziny.

² Julian Horoszkiewicz, *Notatki z życia*, Ossolineum 1957; Ryszard Zieliński, *Gry miłosne*, Warszawa 1983.

³ W 1939 r. w Dębownicy mieszkało 20 rodzin ukraińskich i 5 rodzin polskich.

⁴ Na stronie 30 autor kroniki użył następującego określenia: „O mężu Anny nadal nie było żadnej wiadomości. Z późniejszych opowiadań naocznego świadka (nazwiskiem Materna) wynikało, że Marian Kukiz został przeniesiony z Łopatyna do więzienia we Lwowie i tam dokończył żywota (oficjalnych powiadomień w tej sprawie nie było)”.

c.d. ze s. 14

podziemnej fabryce góry Kohnstein, i to nie w formie dedukcji i domysłów czy poprzez łańcuch pośredników, ale wprost z tamtego terenu”.

Tak więc Korwin-Krokowski ma trudne do przecenienia zasługi w dziele dekonspiracji „Dory”. O warunkach, w jakich żył i pracował w sztolniach góry Kohnstein, piszą też autorzy krajowi Wacław Czarnecki i Zygmunt Zonik w popularnej swego czasu książce *Kryptonim Dora* (1973). Tylko duża odporność psychiczna pozwoliła mu przeżyć ten koszmar. 4 kwietnia 1945 r., gdy Amerykanie byli już w Eisenach, rozpoczęto ewakuację obozu w „Dorze”. Korwin-Krokowski wspomina: „Panika tego dnia była potworna. Część więźniów stłoczona w tunelach miotła się w domysłach, czy aby w trybie nagłym nie zostaną zagazowani”. On sam jednym z pierwszych transportów wraz z Adamem Górką (synem wybitne-

go historyka) został przewieziony do obozu w Bergen-Belsen, gdzie 20 kwietnia uwolnili go żołnierze Stanisława Maczka. Dzięki wywiadowi na temat „Dory” i produkowanych tam rakiet V-2, jakiego w Fallingsbostel (miejscu pobytu sztabu gen. Maczka) udzielił wówczas dziennikarzom alianckim, radio BBC w Londynie nadało audycję poświęconą temu obozowi. Z tego wywiadu jego matka i dwaj bracia dowiedzieli się, iż przeżył obóz.

W maju 1945 r. Korwin-Krokowski zamieszkał w Paryżu i rozpoczął pracę w konsulacie polskim. Gdy Francja uznała warszawski rząd Osóbki-Morawskiego, usunięto „londyński” personel z konsulatu. Jako antykomunista stracił pracę. Został wówczas wiceprezesem Związku Uczestników Ruchu Oporu we Francji oraz członkiem polskich stowarzyszeń kombatanckich. Wiele czasu poświęcał sprawom osiedlania dipisów, czyli byłych więźniów kacetów i wywiezionych na roboty

przymusowe do Niemiec, którzy nie chcieli wracać do komunistycznej Polski. Pełnił też funkcję likwidatora polskiego „Resistance” we Francji, załatwiał renty, zapomogi dla wdów i odznaczenia dla uczestników ruchu oporu.

W końcu 1945 r. bardzo poważnie zachorował i niemal trzy lata poddawany był intensywnemu leczeniu, spędzając wiele miesięcy w szpitalach. Opiekę zapewniali mu jego francuscy przyjaciele, którym swego czasu uratował życie w Buchenwaldzie i „Dorze”. Było wśród nich kilku późniejszych francuskich generałów i prefektów oraz Emile Bullaert — minister i późniejszy komisarz francuski w Indochinach. W paryskim szpitalu był leczony razem z generałem Maxime Weygandem (doradcą wojskowym Józefa Piłsudskiego w czasie wojny polsko-bolszewickiej), z którym się zaprzyjaźnił.

W 1949 r. Korwin-Krokowski wrócił do zdrowia. Wówczas otrzymał propozycję pracy w Indochinach lub na Madagaskarze. Do kraju nie miał po co wracać, zwłaszcza po otrzymaniu informacji, że jego brat został uwięziony przez UB. Po naradach z przyjaciółmi zdecydował się pozostać we Francji. Pracę zawodową rozpoczął w kopalni węgla Merlebach w Lotaryngii (80 km od Nancy). Stopniowo piął się po szczeblach kariery zawodowej w przemyśle francuskim. Trzeba stwierdzić, iż była to kariera imponująca: w ciągu kilkunastu lat z pozycji nikomu nie znanego polskiego inżyniera, którego przyjęcie do pracy oprotestowały francuskie związki zawodowe, doszedł do stanowiska ingénieur divisionnaire (naczelnego inżyniera dywizjoniera) i szefa Service Electrique w lotaryńskim przemyśle chemicznym. Uzyskał duży autorytet jako projektant elektryfikacji i oświetlenia kopalń oraz projektant sieci wysokiego napięcia. Wykonał m.in. sieć elektryczną do zasilania wielkiej fabryki chemicznej w Carling, gdzie produkowano dziennie 1500 ton amoniaku (fabryka o powierzchni 16 km²).

Nie miejsce tu na wyliczanie specjalistycznych prac Korwin-Krokowskiego. W każdym bądź razie potrzebna nam jest świadomość zdolności technicznych naszych rodaków, którzy w państwach Europy Zachodniej wielokrotnie dawali dowody swych niezwykłych talentów. Za mało o tym wiemy, za mało o tym piszemy, lekceważymy w edukacji narodowej etos pracy, i dlatego umacnia się często stereotyp, iż Polacy dobrzy są tylko z szablą i karabinem w rękę.

Lwowianin Jan Bolesław Korwin-Krokowski — niewątpliwie jedna z najciekawszych postaci wśród Polonii zamieszkującej wschodnią Francję — materialnie w 1949 r. startował od zera, jednak dzięki swej pracowitości i zdolnościom osiągnął wysoki standard życiowy oraz szacunek społeczeństwa francuskiego, czego dobitnym dowodem jest przyznanie mu w 1970 r. bardzo prestiżowego odznaczenia i tytułu Komandora Francuskiej Legii Honorowej. Ponadto rząd francuski nadał Krokowskiemu Krzyż Wojenny z dwiema palmami i trzema gwiazdkami (Croix de Guerre), bardzo ceniony Medal Wdzięczności Francji oraz szereg innych odznaczeń cywilnych i wojskowych, a wśród nich Wielki Złoty Medal Pracy. W latach 1960—1977 był prezesem Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Członków Legii Honorowej we wschodniej części departamentu Moselle, następ-

nie do 1989 roku prezesem Komitetu w Nancy, a obecnie jest prezesem honorowym tego Towarzystwa, co jest wyrazem znaczącej pozycji Krokowskiego w środowisku francuskim, gdyż jest pierwszym Polakiem piastującym to stanowisko.

Los związał Korwin-Krokowskiego z Lotarynią, krainą, dla której w XVIII w. ogromne zasługi położył polski król Stanisław Leszczyński. Tam założył rodzinę. W 1954 r. ożenił się z Francuzką z Metzu Angeline Battocchi, z którą ma dwóch synów i córkę. Przez wiele lat mieszkał w Sant Avoird, a po przejściu na emeryturę w 1978 r. przeniósł się do Nancy. Zajmując wysokie stanowisko w przemyśle francuskim, Korwin-Krokowski był zawsze duchem opiekuńczym dla kilkuset Polaków, przeważnie robotników z tamtych okolic. Jego mieszkanie było zawsze otwarte dla potrzebujących doraźnej pomocy, rady i opieki. Umiał być hojny i wspaniałomyślny. Z potrzeby serca, bezinteresownie angażował się też, nie szczędząc czasu i pieniędzy, w działalność organizacji polonijnych, zwłaszcza związków kombatanckich. On to m.in. doprowadził do stworzenia cmentarza polskiego w Dieuze (50 km od Nancy), gdzie spoczywają żołnierze I Dywizji Grenadierów gen. Bronisława Ducha, którzy padli w 1940 roku, broniąc Francji przed Niemcami.

Pasją Korwin-Krokowskiego była zawsze historia. Latami gromadził książki i różnego typu dokumenty historyczne. Z potęgującym się z biegiem lat sentymentem wracał myślami do krainy swej młodości, do Lwowa, czyniąc wiele, aby polska historia tego miasta nie została zapomniana. Jego dom jest pełen pamiątek lwowskich.

„Skąd nasz ród” to tytuł ogłoszonego przez Opolski Oddział TML konkursu na wspomnienia o kresach, mającego na celu ocalenie od zapomnienia losów milionów ludzi, którzy musieli opuścić swą ojczystą i zaczynać wszystko od nowa. „Drzewa się ścina, a korzenie zostają, nielato wykarczować je z ziemi. To przecież nasze korzenie, nasze dzieciństwo, nasze najpiękniejsze lata młodości” — te słowa, zapisane w kronice Oddziału, oddają ducha konkursu.

Jury w składzie: prof. dr Stanisław S. Nicieja — przewodniczący, Władysław Żołnowski — sekretarz, Daromira Krajewska, Wojciech Kubicha, dr Adam Wierciński — członkowie, przyznało pierwszą nagrodę Zdzisławowi J. Zielińskiemu z Wrocławia, trzy drugie nagrody: Stanisławowi Klempelowi z Warszawy, Janinie Otrębowicz z Kędzierzyna-Koźla i Edwardowi Piotrowskiemu z Wrocławia, dwie trzecie nagrody: Zbigniewowi Domasławskiemu z Jeleniej Góry i Danucie Pęczkowskiej z Kluczborka oraz pięć wyróżnień: Helenie Frankiewicz z Bystrzycy k. Olawy, Marianowi Jaworskiemu z Opola, Bronisławie Kokowskiej z Niemodlina, Czesławowi Sułkowskiemu z Nysy oraz Helenie Szczurowskiej z Wolczyńska.

Pięć głównych nagród ufundowało WPPH „Presstrust”. Agencja Wydawnictw i Reklamy — wydawca pisma „Semper Fidelis”. Nagrodzone prace będą kolejno publikowane na naszych łamach.

JANINA OTREBOWICZ

Nasze losy*

W drodze z Halicza do Podhajec wznoszą się niezbyt wysokie, ale strome pagórki, gdzieniegdzie pokryte sadami, lecz w większości stanowiące pastwiska i pola uprawne. Pomiedzy pagórkami ciągną się rozległe doliny i strome, przepaściste jary. Tak właśnie położona jest moja Horożanka: jedziesz, jedziesz, widzisz tylko wzgórza, i nagle za jednym z nich odsłania się przed tobą miasteczko, niewidoczne z daleka. Krajobraz jak z *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza. To Łysogóry — wapienna wyżyna uboga w lasy, a obfita w gaje wiśniowe lub czereśniowo-leszczynowe i bukowiska. Rosną tam piołuny, rumianek, macierzanka, no i burzany. Ach, te burzany! Z nielicznych obrazów wyniesionych przeze mnie burzany zajmują miejsce poczesne.

Horożanka była miasteczkiem rolniczym, liczącym ledwie kilka tysięcy mieszkańców, ale przestrzennie była tak rozległa, że poszczególne jej części posiadały własne nazwy, jak: Burty, Wołoszczyna, Targowica. Na obrzeżach budynki były z drewna lub gliny malowanej na niebiesko, kryte strzechą, ale w centrum — jak przystało na siedzibę gminy — stały domy murowane i piętrowe. Centrum miasta stanowił rynek, przy którym znajdowała się komenda policji, poczta, no i oczywiście siedziba władz gminy. Niedaleko była szkoła, nieco dalej na wzgórzu wznosił się kościół, a za nim na kolejnym wzgórzu, nieco na uboczu, majestatycznie królował nad okolicą dwór dziedzica Romanowskiego. W mieście była również cerkiew, jako że większość mieszkańców stanowili Ukraińcy.

Nasz dom, murowany, kryty dachówką, ze ścianami malowanymi na białe, stał na niewielkim, ale stromym wzniesieniu. Kamieniste podwórkę ozdobione było wyniosłym kasztanem, a z boku rozciągał się ogród i pole kukurydziane. Z podwórka biegła stroma ścieżka ku drodze wiodącej do kościoła i dworu Romanowskich, a inna ścieżka łączyła nas z rynkiem, odległym zaledwie o kilkadziesiąt metrów.

Miasto miało typowo rolniczy i wielonarodowościowy charakter. Większość Polaków i Ukraińców żyła z niewielkich gospodarstw, część utrzymywała się z rzemiosła, a handel niemal wyłącznie opanowali Żydzi. Drobnymi warsztatów szewskich, krawieckich, sklepów, sklepików było w mieście sporo, ale przemysłu żadnego. Nie było też elektryczności, gazu, wodociągu i kanalizacji. Miasto żyło wolnym rytmem, z trudem próbując wejść w XX wiek.

Wielu młodych opuszczało miasto i udawało się do Halicza lub Stanisławowa w poszukiwaniu pracy. Zatrudniani byli najczęściej jako służba do-

mowa. Z kolei do Horożanki przybywali co roku z południowych rejonów podgórszych robotnicy rolni najmujący się do prac sezonowych w majątku Romanowskich. Dziedzic posiadał jako jedyny w tamtych stronach snopowiązałkę (rzecz na kresach dla zwykłego chłopca nieosiągalna), ale rzadko ją używał, ponieważ uważał, że powoduje duże straty w kłosach. Jego najmici kosili więc zboże sierpem, podobnie jak wszyscy rolnicy z Horożanki. Kosę używano do koszenia traw. Dziedzic płacił swoim najmitom przeważnie w zbożu, a jesienią, pracując przy wykopie ziemniaków, otrzymywali kartofle jako wynagrodzenie. Pani Romanowska cieszyła się dobrą sławą wśród mieszkańców miasta. W razie choroby lub skaleczenia udzielała pierwszej pomocy, bo w Horożance nie było lekarza ani apteki. W czasie okupacji radzieckiej ona była jedną z pierwszych ofiar stalinowskich deportacji. Jej syn Jan został adiutantem gen. Andersa.

Moja babcia Maria była rodowitą Ukrainką. Jej wielkim marzeniem było wyjść za mąż za Polaka. Los spełnił dziecięce marzenie: babcia wyszła za mąż za polskiego szewca, katolika. To był mój dziadek Jan. W domu mówiło się po polsku i po rusku. Była również pełna tolerancja w zakresie wyznania — babcia chodziła do cerkwi, a dziadek do kościoła.

Podobna tolerancja panowała również wobec Żydów. Miasto akceptowało ich dominację w dziedzinie handlu i odmienną kulturę. Niechęć i złe szeptu powstawały jedynie wtedy, gdy któryś z Polaków lub Ukraińców pił i jadł przez całe lata w żydowskiej karczmie na kredyt i zatracił w końcu rachunek. Niejeden postawiony przed sądem za odmowę spłaty długu stracił na rzecz właściciela karczmy dorobek swego życia. W takich momentach w mieście szeptano, że Żydzi porywają dzieci i wypijają z nich krew.

Babcia Maria nie miała łatwego życia. W jej domu rodzinnym panował orientalny kult mężczyzny, a w domu męża babcia dostała się pod władzę teściowej Wiktorii — kobiety despotycznej, nie znoszącej żadnego sprzeciwu i dyktującej swoimi dwoma dorosłymi synami. Babcia została odsunięta od kuchni, pracowała w polu na równi z mężczyznami, a w domu musiała znosić potulnie wszystkie fochy, gniewy i humory teściowej, bo w mężu nie miała obrońcy. Babcia nie umiała pisać. Przed I wojną światową posyłała dziewczyny do szkoły uchodzącej w Galicji za zbędny luksus. Gdy jednak nastąpiła II Rzeczpospolita, wszystkie dzieci w Horożance zostały objęte przymusem szkolnym. Niestety, szkoła posiadała tylko 4 klasy.

Babcia urodziła siedmioro dzieci, ale tylko dwoje przeżyło okres wczesnego dzieciństwa: mój ojciec Michał i ciocia Anastazja. Dziadek Jan próbował nauczyć swego syna zawodu szewca, ale on nie miał do tego zajęcia zapału ani serca, więc gdy dorósł, zaczął szukać dla siebie innej pracy. Udało mu się otrzymać pracę listonosza, a potem policjanta. To było coś! Posada tego typu dawała regularny dochód, co w takim rolniczym miasteczku, jak Horożanka, było rzeczą niezwykle cenną.

Ojciec ukończył służbę wojskową w Wołyńskiej Dywizji Piechoty, a potem zaczął się rozglądać za godną siebie partnerką. Upodobał sobie młodzie-

* Druga nagroda w konkursie „Skąd nasz ród”, ogłoszonym przez Opolski Oddział TML.

ką 17-letnią Binię z polskiej rodziny Horożanieckich. Razem występowali w imprezach organizowanych przez szkołę, która w mieście pozabawionym kina i domu kultury przejęła na siebie rolę organizatora imprez kulturalnych związanych ze świętami państwowymi i religijnymi. Binia miała wielu wielbicieli, ale mój ojciec tak ją osaczył, tak wkraść się w łaski jej braci (ojciec dziewczyny nie żył, a ona nie mogła sama decydować o swoim losie), tak skutecznie odpędził wszystkich konkurentów, że pozostał sam na placu boju. Binia została jego żoną. Był rok 1933.

Matka wniosła mężowi w posagu kilka poletek niezbyt dużych i porozrzucanych w różnych okolicach. Tata po swoim zmarłym ojcu również otrzymał niewiele. Nie mógł więc liczyć na dostatnie życie, bo wciąż trwał „wielki kryzys”, a ponadto stracił posadę państwową.

Na 17-letnią Binię spadły liczne obowiązki. Musiała gotować, sprzątać, doić krowy, pracować w polu i razem z innymi kobietami moczyć w rzece Horożance len i konopie. Trzeba było w listopadzie bosymi nogami wchodzić do lodowatej wody i miedlić włókna lnu aż do zmiękczenia. Jest to jedno z najgorszych wspomnień mojej matki. Pierwsze święta Bożego Narodzenia moja mama musiała przygotować sama. Tradycja głosiła, że powinno być 12 dań, ale wtedy mało kogo było na to stać, a poza tym jedna kobieta nie poradziłaby sobie z takim ogromem pracy, na babcię zaś nie można było liczyć, bo została przez swoją teściową Wiktorię skutecznie odzwyczajona od zajęć kulinarnych. Trzeba też było zrobić ozdoby na choinkę, bo nikt w Horożance nie widział szklanych bombek. Mama zrobiła więc różne łańcuszki, ptaszki, gwiazdki i razem z jabłkami powiesiła na choince. Potem przystąpiła do ubijania pszenicy na kutię. Kutia podana na białym obrusie stanowiła pierwsze i najważniejsze danie. Po niej jadło się grzyby gotowane ze śledziem, ryby, pierogi z kapustą, gołąbki z kaszy jęczmiennej, a na koniec kompot z suszonych gruszek. W Horożance panował zwyczaj wnoszenia na czas Bożego Narodzenia słomy do mieszkania. Zaścielało się nią podłogę, a w kącie stawiało snopek zboża. Miało to przypominać prawdziwą stajenkę, a dzieciom dawało możliwość baraszkowania w cieplej, pachnącej słomie.

Kolację rozpoczynał pan domu, składając wszystkim życzenia i dzieląc się opłatkiem. On też pierwszy wstawał od stołu, brał łyżkę kutii i rzucał pszenicę w sufit, wyrażając przy tym życzenie, aby w przyszłym roku plony tak obficie się posypały, jak ta pszenica na suficie. Po kolacji pan domu siedział do obory i dawał bydłu resztki jedzenia. Potem zaś śpiewało się kolędy, a o północy cała rodzina udawała się na pasterkę. W następnym dniu z trwogą wyczekiwano, kto pierwszy odwiedzi dom — mężczyzna czy kobieta? Mężczyzna — dobrze! Kobieta — źle! To samo powtarzało się na Nowy Rok. Dzieci co roku przeżywały w te święta wielkie rozczarowanie. Babcia uparcie twierdziła, że w wieczór wigilijny zwierzęta mówią ludzkim głosem. Dzieci chodziły więc co jakiś czas do obory sprawdzić, czy zwierzęta odezwą się do nich, i za każdym razem spotykał je zawód.

W dwa lata po ślubie moja mama urodziła pierwsze dziecko. Syn! Co za radość dla ojca i jaka ulga dla matki! Gdyby urodziła się córka, w

domu panowałoby milczenie. Dziewczynka to kłopot i utrapienie, a syn to duma i nadzieja ojca, to gwarancja kontynuacji rodu, to podpora na przyszołość, obrońca i mściciel!

W trzy lata później moim rodzicom urodził się następny syn. I znów były fety i owacje, ale był to już rok 1938. Nad światem zaczęły gromadzić się czarne chmury. W 1939 r. w mieście tylko 2 osoby posiadały radio. Jedną z nich był ksiądz. To on właśnie poinformował swoich parafian, że wybuchła wojna. Zmobilizowano wielu mężczyzn. Mój ojciec otrzymał przydział do żandarmerii wojskowej, z zadaniem konwojowania grupy więźniów politycznych (przeważnie Ukraińców) do Berezki Kartuskiej. Ojciec traktował ich po ludzku, na każde żądanie dawał im wodę i żywność. Drugi konwojent okazywał znacznie mniej wyrozumiałości i niebawem zapłacił życiem za swoją postawę. Ojciec spełnił zadanie. W drodze powrotnej dowiedział się, że Rosjanie wbili nam nóż w plecy. Spieszenie wracał do miasta, a tam Ukraińcy schodzili się na rynku, zatrzymywali polskich żołnierzy, zdzierali z nich buty, orzełki z koroną. Opluwali ich i szydzili z nich i z Polaki. Polskie kobiety stały i płakały w milczeniu. Na ich oczach umierała Polska, z której tak były dumne. I ta straszna niepewność, co teraz będzie z nami, Polakami, bo oto nagle stało się jasne, że między Polakami a Ukraińcami — dotąd przyjaźnie współzyskującymi — zapadła przepaść.

Ukraińcy wywiesili żółto-niebieskie flagi i z dnia na dzień stawali się coraz butniejsi. Coraz głośniej zaczęli mówić, że teraz nareszcie będzie samostijna Ukraina i że trzeba Lachów wyrezać do korzenia. Niebawem zaczęli się organizować i znikać gdzieś po nocach. Mama ze zdumieniem spostrzegła, że jej dawni koledzy szkolni, zawsze dla niej serdeczni, teraz mijają ją w milczeniu lub z wrogim błyskiem w oczach. Wkrótce zaczęły się pożary polskich domów. Rosjanie po wkroczeniu do Horożanki natychmiast wprowadzili nowy porządek. NKWD zabrało policjantów i nikt już ich nigdy nie zobaczył. Zabrano też Romanowskich, a w ich majątku utworzono sowchoz, którego przewodniczącym został najbiedniejszy z bezrolnych Ukraińców. On od tam rezydował w dworcu dziedzica. Cała administracja polska została zamieniona na ukraińską bądź rosyjską. Ukraińcy cieszyli się, nazywając Rosjan wyzwoliczami spod polskiego jarzma. Radość nieco przygasła po oficjalnym przyłączeniu tych ziem do Radzieckiej Ukrainy, ale pocieszano się, że nareszcie wielki naród ukraiński jest zjednoczony. Ukraiński wójt miasta pomagał czynnie Rosjanom w każdej antypolskiej akcji. To on spisał listy tych, których zimą z 1939 na 1940 r. przeznaczono do deportacji. A zima była wtedy wyjątkowo sroga. Mój 5-letni wówczas brat zapamiętał ogromne sople lodu sięgające z dachu domu do samej ziemi i widok wróbla, który zawisł nagle w powietrzu, a potem padł martwy na ziemię.

W taką zimę zaczęto wywozić Polaków. Nocą załomowano do drzwi i kazano w ciągu 15 minut spakować się i opuścić dom. Zabrano wujenkę Julę Horożaniecką, z 5-letnią córką Anią, i stryjenkę Marię, z córką Janią. Mąż Juli, wujek Jan, był wtedy poza domem, lecz nie chcąc pozostać sam, dobrowolnie zgłosił się na NKWD. Pojechał ra-

zem z rodziną do Kazachstanu. Wujenka Julia chorowała na tyfus i była bliska śmierci. Uratował ją lekarz polski z armii Andersa, do której wujek zdołał dotrzeć. Potem wuj walczył pod Monte Cassino, a wujenka z córką Hanią poprzez Persję, Palestynę, Egipt udała się do Anglii.

Z Horożanki zabrano księdza, nauczycieli, urzędników. Wielu z nich nigdy nie powróciło do Polski.

W czerwcu 1941 r. od strony Halicza pojawiły się łuny i słychać było wystrzały armatnie. Po jakimś czasie przybyli Niemcy. Padło kilka wystrzałów, i miasto zostało zajęte właściwie bez walki. Potem przetaczały się przez rynek długie kolumny samochodów i pieszych oddziałów. Trwało to kilka godzin. Część żołnierzy niemieckich rozbiegła się po domach w poszukiwaniu kur. Najedźcy rozlokowali się przy szkole. Wkrótce zaczęły się pojawiać na rynku coraz liczniejsze grupy Żydów konwojowanych przez żołnierzy niemieckich i ukraińskich (nasi Ukraińcy rozczarowani do Rosjan swoje nadzieje zwiążali z Niemcami). Kobiety z małymi dziećmi, mężczyźni, starcy stali na rynku w upalny dzień i nikt im nie podał nic do picia. Niemcy zabronili ludności polskiej pod groźbą kary śmierci zbliżać się do Żydów. Tłumy przerażonych, zmęczonych ludzi stały więc głodne i spragnione na rynku, czekając na decyzję o swoim losie. Dzieci płakały, a matki z rozpaczą w oczach patrzyły na nie. Niemcy pogнали ich następnego dnia drogą na Hnilecz. Po jakimś czasie zaczęto szeptać, że żywcem zakopano ich w zbiorowej mogile i przez trzy dni ziemia trzęsła się w tym miejscu. Inna wieść głosiła, że Niemcy kazali swoim ukraińskim sojusznikom rozstrzelać Żydów, a ich ciała wrzucić do studni. Chociaż nikt nie miał dokładnych informacji, wszyscy byli świadomi tragedii ludności, która od wieków była nieodłącznym elementem kresowych miasteczek. Potem przez Horożankę przechodziły kolumny Żydów z Rumunii. Tych pędzono w kierunku Halicza. Szeptane wieści głosiły, że wszystkich wysłano do Oświęcimia.

Nasi Ukraińcy znów powiesili żółto-niebieskie flagi. Spora część ich młodzieży zgłosiła się na ochotnika do służby wojskowej u boku Niemców. Po 2 tygodniach przyszło jednak rozczarowanie: Niemcy kazali im zdjąć flagi, wydali kenkarty z polskimi napisami oraz pieniądze z polskim nadrukiem. Tego już było Ukraińcom za wiele. Zaczęły płonąć domy należące do Polaków i niemal codziennie dochodziły wieści o napadzie na jakąś wieś.

Mój ojciec znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Polowano na niego. Niemal nie nocował w domu. Ukrywał się nocą w cudzych stodołach, spał na polach, łąkach lub nad porośniętym szuwarami brzegiem rzeki Horożanki, która przepływała przez miasto leniwym nurtem, tworząc liczne zakola.

Raz, gdy grupa banderowców natknęła się na niego nad rzeką, ojciec uznał, że jedyną szansą jest wejście do rzeki i ukrycie się w gęstych przybrzeżnych zaroślach. Ukraińcy nie dali za wygraną. Długimi drągami zaczęli penetrować dno rzeki, aby wytropić ukrywającego się tam człowieka. Ojciec przywarł całym ciałem do brzegu rzeki i cały wysiłek włożył w to, aby nie drgnąć, nie kichnąć i nie zakaszleć. Nie czuł zimna, choć woda była lodowata. Trudno powiedzieć, jak dłu-

go to trwało — każda minuta wydawała się wiecznością. Wreszcie usłyszał, jak jeden z tropicieli mówi, że dalsze poszukiwania należy odłożyć do świtu, bo tej nocy mają jeszcze do załatwienia inną sprawę.

Innym razem oddział Ukraińców dopadł ojca, gdy wracał z pobliskiej wioski w towarzystwie 18-letniego Stanisława Tarnowskiego. Zaczęli uciekać. Przed nimi był zbawienny las. Ojciec zdołał do niego dobiec pierwszy, ale chłopak pozostał z tyłu, krzycząc: tato, ratuj mnie, tato, ratuj mnie! A potem łomot drewnianych kłód rozbijających głowę chłopca. A potem cisza. I mózg tego chłopca na śniegu...

Morze nienawiści rozdzieliło Polaków i Ukraińców. Nacjonaliści traktowali dosłownie hasło „wyrznać Lachów do korzenia”, uważali bowiem, że jeśli zostawi się polski pień, to on w przyszłości odrośnie i znów skończą się marzenia o niepodległej Ukrainie. Oddając jednak hołd sprawiedliwości i prawdzie, trzeba uczciwie przyznać, że nie wszyscy Ukraińcy podzielali to stanowisko. Wielu zachowało człowieczeństwo i sprzeciwiało się bezwzględnemu bestialskiemu terrorowi. Udzielali oni pomocy Polakom i również padali ofiarą ślepej nienawiści. Brat mordował brata, syn ojca.

Ojciec ukrywał się na polach, łąkach, a mama z babcią i dziećmi zostawała w Horożance. Miała już wtedy trzech synów i córkę. Początkowo chroniło nas ukraińskie pochodzenie babci, ale potem przestało to wystarczać. Mama posyłała więc starszych chłopców do rodziny babci, a sama starała się znaleźć schronienie u któregoś z ukraińskich sąsiadów. Nie wszędzie chciano ją przyjąć, a jeśli już, to tylko na jedną noc. Zdarzało się, że gdy weszła do jakiegoś domu, jego mieszkańcy bledli, i mama bez słowa odchodziła. Raz, gdy po raz drugi zjawiła się u jakiejś Ukrainki, ta załamała ręce i jęknęła: Boże, ta na cóż mi takiego nieszczęścia! Zgodziła się jednak przemocować mamę na strychu. Tak wyglądała większość jej nocy w roku 1943.

Moi starsi bracia, 8-letni wówczas Janek i 5-letni Józek, chodzili nocować do rodziny babci — Dowbaków. Kresowym zwyczajem kładziono ich na wysokim piecu. Było tam tak gorąco, że dzieciaki nie mogły zasnąć. Chciało im się pić, ale w tak trudnych czasach nikt się nie cackał z dziećmi. Młodszemu z braci tak zbrzydły te gorące noce, że pewnego wieczoru w drodze do Dowbaków położył się na placu targowym w rosnące bujnie rumianki i odmówił dalszej drogi. Starszy z braci chyba godzinę męczył się z uparciuchem, zanim udało mu się siłą wydobyć malucha z pachnących miękkich rumianków. Nasza ciocia, Hania Sadłowska, chodziła spać do swego wujka — Ukraińca. Przyszli po nią wieczorem, wyprowadzili na dwór i zarabali siekierą razem z 3-letnią córeczką.

Niemal codziennie dochodziły wieści o napadach w Markowej, w Panowicach i w innych wioskach. W Horożance zaś coraz częściej płonęły polskie domy. Nasz dom również podpalono. To mama ugasiła pożar, bo ojca nie było. Pomagał jej jeden z ukraińskich sąsiadów.

W czerwcu 1944 r. przez Horożankę znowu zaczęły przeciągać długie kolumny samochodów i pieszych oddziałów. Szli na Halicz, ku zachodowi. Chłopi starali się uchronić przed nimi dobytek,

a zwłaszcza krowy. Wielu więc pognało swoje krowy na błonia — łąki ciągnące się między rzeką a niewielkim lasem leszczynowo-bukowym. Ojciec wysłał swego najstarszego syna na naszą łąkę z przykazaniem, aby pilnował krowy. Chłopak wkrótce spostrzegł, że wśród pasących krowy jest jedynym dzieckiem i jedynym Polakiem. Zaczęła się narada, co zrobić z chłopcem. Jeden z Dowbaków, a więc krewny naszej babci, uznał, że najprościej będzie chłopca zabić. Inny zaproponował, aby go przywiązać do drzewa, a potem podpalić. Obroniła chłopca jedna z ukraińskich kobiet, która rzuciła mężczyznom mocne i obraźliwe słowa. Ukraińcy zostawili brata samego w lesie. Dotarł do domu niemal o północy.

Po tych wydarzeniach ojciec zdecydował, że musimy opuścić Horożankę. Przenieśliśmy się do Toustobab. Przyjechaliśmy tam późną jesienią i przywieźliśmy z sobą kilka worków zboża, ziemniaki, nasiona fasoli i kukurydzy, łóżka, pościel i kilka garnków. To był nasz cały dobytek. Reszta została w Horożance.

Zamieszkaliśmy w małej chatce na skraju wsi, opuszczonej przez jakąś polską rodzinę. Babci i mamie było żal Horożanki, ale ojciec stwierdził, że nie ma czego żałować, bo już by nas wśród żywych nie było. Przed odjazdem dostał od jednego z Dowbaków wiadomość, abyśmy natychmiast uciekali, bo tej nocy banderowcy mają zamiar nas wymordować. Działają oni według planu, a w tym planie zakłada się śmierć wszystkich Polaków. Mama przypomniła sobie, że latem podszedł do niej jakiś Ukrainiec na pastwisku i powiedział, aby uciekała, bo tu będą wszystkich Lachów mordować. Mama nie chciała w to wierzyć. Ludzie zaczęli mówić, że te ziemie już nigdy nie będą należały do Polski, i trzeba będzie stąd wyjeżdżać.

W tydzień przed świętami Bożego Narodzenia miał miejsce napad na Toustobaby. Mój najstarszy brat bawił się wówczas na ślizgawce z innymi chłopcami. Około godz. 15, gdy zaczęło się już nieco ściemniać, usłyszeli odgłos strzałów. Natychmiast pobiegli do wsi. Grupa mężczyzn kazała im pójść do kościoła. Brat biegł co tchu, ale nie zdążył. Kościół był już atakowany przez bandę UPA. Brat wbiegł więc do najbliższej małej chatki i zastał tam babcię, mamę i pozostałe rodzeństwo. Kobiety stały w oknach i modliły się.

Banda otoczyła wioskę i podzieliła się na 3 części: jedna grupa mordowała, druga podpalała, a trzecia rabowała co się dało. Przecięto też kable telefoniczne, ale jednemu z Polaków udało się przedrzeć przez pierścień okrażenia i dobiec do pobliskiej wioski. Stamtąd zawiadomił oddział radziecki stacjonujący w Monasterzyskach i wezwał ich na pomoc. Rosjanie przybyli dopiero następnego dnia, mimo że napad trwał do drugiej w nocy. Ponoć mieli kłopoty z przejściem przez most nocą. Polacy zostali więc pozostawieni na pastwę oprawców. Część naszych mężczyzn miała karabiny, ale było to stanowczo za mało, aby przeciwstawić się dużej liczbie bandzie UPA. Napad trwał 11 godzin. Rankiem brat wracał do domu. Szedł ulicami rozległej wsi i nie poznawał ich. Po wczorajszych domach pozostały dymiące jeszcze zgłiszczka, a na ziemi leżały martwe ciała ich niedawnych mieszkańców. Brat widział głowy odrąbane siekierą, dziecięce główki roztrzaskane o mur. Nie mógł na to patrzeć, odwracał wzrok, ale wszędzie był ten sam obraz. W pewnym momen-

cie zatrzymał się zdumiony: z głowy leżącego na ziemi mężczyzny wyrastał krwawy kalafior. Trwało dłuższą chwilę, zanim 9-letni chłopak uświadomił sobie, że to ludzki mózg zakwitł czerwienią na mrozie. Chciał biec, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Odwrócił wzrok i wtedy zobaczył kobietę. Nie mógłby powiedzieć, czy była młoda czy stara. Nawet nie zauważył jej twarzy. Wiedział tylko, że była przecięta piłą na pół.

Tej nocy zamordowano w Toustobabach 109 osób. Rosjanie, którzy przybyli rankiem, zabrali ich na wozy i powieźli na cmentarz.

Nasz rodzina po napadzie przeniosła się do Monasterzysk, a potem do Stanisławowa. Tam ojciec dowiedział się, że Polacy mogą wyjeżdżać za Bug i natychmiast rozpoczął starania o odpowiednie dokumenty. Ponieważ nie miał pracy, i był jeszcze w wieku poborowym, zainteresowało się nim NKWD. Aresztowano go, ale po okazaniu dokumentów repatrianckich wypuszczono do domu.

W Stanisławowie szukało schronienia wielu Polaków. Panował głód. Trzeba było na własną rękę zdobywać żywność, a nie było pieniędzy. Ludzie napadali na magazyny żywności i okradali je. Wtedy wkraczało do akcji NKWD. Mama posyłała dzieci do rzeźni, aby wyprosiły jakąś kość lub jakiś skrawek tłuszczu. Normalną rzeczą była także żebranie na ulicach. W kwietniu 1945 r. pozwolono nam załadować się do pociągu i ruszyliśmy na zachód. Ojciec bez żalu opuszczał krainę swojej młodości, ale mama i babcia miały smutek w oczach.

W czasie podróży musieliśmy sami troszczyć się o pokarm. W wagonie zainstalowany był piecyk żelazny i na nim gotowało się posiłki. Na szczęście mieliśmy jeszcze trochę zboża i dzięki niemu przetrwaliśmy tę trudną podróż. Największy kłopot sprawiało zdobycie drzewa na opał do piecyka, odpowiedniej ilości wody do picia, prania mycia i gotowania. O potrzebach fizjologicznych już nie wspomnę.

Po kilku tygodniach koszarnej podróży nasz wagon odstawiono na bocznice towarową na stacji Olesno Śląskie. Do tej pory nikt nam nie powiedział, dokąd jedziemy, myśleliśmy, że to już koniec, ale myliliśmy się. Skierowano nas do Kępna, potem znów zawrócono, i wreszcie na małej stacji Górzów Śląski kazano wysiadać. Wynieśliśmy wszystkie bagaże i czekaliśmy. Ojciec powiedział, że przyjedzie jakiś urzędnik i poinformuje gdzie mamy zamieszkać. Minał jednak cały dzień i nikt się nie zjawił. Musieliśmy nocować na peronie. Na drugi dzień znów to samo. Wreszcie ojciec zdenerwował się i po trzech dniach poszedł szukać jakiegoś urzędu. Wrócił z wiadomością, że w pobliskiej wsi Pawłowice jest kilka wolnych gospodarstw. Możemy zająć któreś z nich. Oczywiście urzędnik nie pofatygował się z nami, nie pomyślał też o żadnym transporcie. Musieliśmy pieszo dotrzeć do wskazanej wioski, niosąc cały dobytek w rękach lub na plecach (mieliśmy z sobą wciąż te dwa łóżka, które mama zabrała z Horożanki).

Zajęliśmy pierwsze napotkane wolne gospodarstwo. Były tam dwie stodoły, spora obora i poleczony z nią jednym dachem skromny budynek mieszkalny złożony tylko z trzech izb. Nas było 10 osób, bo razem z moimi rodzicami i babcią była też ciocia Anastazja ze swoim mężem i córką. Weszliśmy na podwórze i zachciało nam się płakać. Jak tu strasznie brzydko! Dom mieszkal

ny taki szary, stopiony z oborą, na środku podwórza ogromne gnojowisko, wszędzie czuć zapach gnojówki. W całym obejściu tylko jedno drzewo. Nigdzie nie widać żadnych stromych pagórków ani uroczych wąwozów i jarów, ani jednej kamienistej ścieżki stromo wspinającej się pod górkę. Nie ma też rzeki tworzącej liczne zakola, nad którymi można prać bieliznę i łowić ryby. Wszystko tu inne, obce, niepolskie. A ziemia jaka uboga, piaszczysta! Jak my tu będziemy żyli! No i ludzie sami obcy, ani jednej swojskiej twarzy. Kto wie, jak nas przyjmą, czy znów nie trzeba będzie ukrywać się po polach i lasach. Ojciec starał się nas pocieszyć. Zauważył, że jest tu elektryczność, a w Horożance jej nie było. Poszedł do stodoły i odkrył, że jest tam pług, snopowiązałka i maszyna do młócenia zboża. Tego w Horożance nigdy nie mieliśmy. Tata ucieszył się. Nie trzeba będzie ciąć zboża sierpem, a potem długo przez całą zimę młócić go cepami. Będzie nam tu dobrze, zobaczycie — zapewniał nas.

Weszliśmy do mieszkania i znów zrobiło nam się smutno. Zupełnie puste ściany! Tylko w jednym pomieszczeniu stał kaflowy piec do gotowania. Mama usiadła na walizkach i płakała. Długo nie można jej było namówić do rozpakowania tobołków.

Byliśmy głodni, brudni, obdarci. Wszystkim chciało się pić. Tata poszedł z chłopcami poszukać jakiegoś drzewa na opał. Babcia rozpałała pierwsze ognisko. Mama dalej siedziała na walizkach. Zjedliśmy coś, i tata poszedł na wieś poznać sąsiadów. Zawsze łatwo nawiązywał kontakty z obcymi, więc i tym razem nie miał trudności. Wrócił z mnóstwem informacji. Dowiedział się, że właścicielka gospodarstwa, na którym osiedliśmy, uciekła w Sudety, bo była żoną aktywnego działacza NSDAP. Pole jest obsiane. To była dobra wiadomość. Mama wstała wreszcie z walizek i zaczęła rozkładać łóżka. Zrobiło się nieco cieplej w tym pustym domu. Potem tata zrobił jakiś prosty stół i ławę. Było już na czym usiąść. Powoli przyzwyczajaliśmy się do nowych warunków. Z urzędu dostaliśmy kartki na chleb i jakąś inną drobną pomoc. Starszy brat poszedł w czerwcu do szkoły. Miał już 10 lat, ale z powodu wojny tylko przez 2 miesiące chodził do szkoły rosyjskiej w Monasterzyskach. Tam go nauczono alfabetu rosyjskiego. Teraz trzeba było nadrabiać zaległości. W podobnej sytuacji byli inne dzieci. Miał nad nimi jednak przewagę, bowiem jeszcze w Horożance nauczył się czytania i pisanie u nauczyciela Makarewicza, który uznał za swój społeczny obowiązek nauczanie polskich dzieci. Dzieci w Pawłowicach mówiły gwarą z dużymi naleciałościami niemieckimi, a mój brat mówił piękną, poprawną polszczyzną. W ciągu 3 miesięcy jego rocznik przerobił program 4 klas szkoły podstawowej, a od września zaczęli już normalnie realizować program V klasy.

W sierpniu zboże dojrzało i trzeba było rozpocząć pierwsze na nowej ziemi żniwa. W stodole stała snopowiązałka, ale nie mieliśmy konia. Trzeba było żąć zboże sierpami. Mama, tata, babcia i 7-letni brat Józek codziennie zmusznie od rana do wieczora pracowali w polu. Brat zdarł skórę na rękach aż do krwi, ale nie płakał i nie żalił się.

Nasz dobytek nieco powiększył się. Otrzymaliśmy jałówkę od gospodarza, który według informacji władz miał wyjechać do Niemiec, i ojciec

początkowo zamierzał objąć jego gospodarstwo. Aby się nas pozbyć, dał nam cielną jałówkę. Był to cenny dar. Jedna z sąsiadek dała mamie kurę, inna trochę jaj. Powoli życie normalizowało się, ale wciąż uważaliśmy nasz pobyt na tych ziemiach za tymczasowy. Pod koniec lata spotkała nas wielka niespodzianka. Na podwórze zajeżdżał wóz z kobietą, mężczyzną i czworgiem dzieci. Okazało się, że to właścicielka naszego gospodarstwa wróciła z Sudetów. Ojciec zaprosił ją do środka i zaproponował zamieszkanie w jednym z pomieszczeń. Teraz nas było 16 osób, a od października 17, bo mama urodziła czwartego bratczyka.

Nasza właścicielka była w trudnej sytuacji. Chciała pozostać w Polsce, na swojej ziemi, ale ludność Opolszczyzny musiała stawać przed komisją weryfikacyjną i udowodniać swoją polskość, a ona była synową i żoną aktywnych działaczy hitlerowskich. Ojciec próbował jej pomóc. Jeździł do władz gminy i twierdził, że jest to kobieta mówiąca i myśląca po polsku, i nie może ponosić odpowiedzialności za działalność swego teścia i męża.

Po dwóch latach zabiegów władze podjęły decyzję, że właścicielka naszego gospodarstwa może pozostać w Polsce, ale musi przenieść się do innego domu i zrezygnować z tych 14 ha, jakie do tej pory posiadała, a zadowolić się 2 ha ziemi. Tak też się stało. Pani Tyłowa wyprowadziła się do nowego domu. Chyba nie miała do nas pretensji, w każdym razie nigdy tego nie okazała. W późniejszych latach zawsze życzliwie odnosiła się do mojej mamy i szyla jej wiele rzeczy. Mama, zrażona do nowego domu sprawą Tyłowej, nalegała na ojca, aby jechał na Dolny Śląsk szukać innej gospodarki. W okolicach Dzierżoniowa osiadła rodzina mamy — matka i bracia. Ojciec zaczął często jeździć na Dolny Śląsk, ale do przeprowadzki nie doszło. Chyba tata miał dość tułaczki. Zostaliśmy więc w Pawłowicach.

W drugim roku po przyjeździe dostaliśmy konia z UNRRA. Cóż to była za radość dla ojca! Tata kochał konie. Pamiętam, jak starannie każdego ranka czyścił jego sierść, rozczesywał grzywę i pieszczotliwie klepał po wielkiej głowie. Koń czuł to i rewanozował się ojcu posłuszeństwem. Tata kochał też ziemię. Często lubił kłaść się na niej — odpoczywał w ten sposób. Mówił, że kontakt z ziemią pozwala mu odczuć nierozzerwalną więź człowieka z przyrodą, dodaje sił i umożliwia głębsze rozumienie istoty życia. Ojciec kochał życie. Pamiętam, z jakim upodobaniem lubił chodzić boso po porannej rosie, iskrzącej się w słońcu, z jaką radością patrzył na szybki wzrost młodych świerków posadzonych przez niego. Nigdy nie zgodził się zabić własnoręcznie świni czy kury na niedzielę.

Ale w gospodarstwo ojciec nie inwestował. Sąsiadom przybywało narzędzi, mebli, a nam nie. Wciąż uważał, że nasz pobyt na tych ziemiach jest tymczasowy. Żyliśmy więc wciąż skromnie i biednie.

Stosunki między nami a sąsiadami układały się chłodno, ale poprawnie. Obserwowaliśmy się nawzajem z ciekawością, lecz bez próby zbliżenia się do siebie. Po cichu oni mówili o nas „chadzaję”, a my o nich „szwabę”. Z czasem jednak dzieci pierwsze przełamały wszelkie bariery. Nie bacząc na różnice w mowie, obyczajach, zaczęły wspólne zabawy.

W ŚWIĄTECZNYM NASTROJU

CZESŁAW SKIBA

Cmentarz Orłąt

Na południowym stoku wzgórza,
Skąd Pohulanki się widok roztacza,
Biel krzyży chwałą się wynurza,
Jak dziękczynnego okrucich kołacza.
Mogily te to narodowa relikwia prześwięta,
— Spiają w nich snem wiecznym bohaterskie Orłęta

A ponad nimi oczy zachwyca
Kształt misternej fasady ...
— Lśniącą bielą Orłąt Kaplica,
A niżej — katakumb arkady.
Tudzież dwa sojusznikom pomniki w marmurze ...
Co polegli za Polskę w tej krwawej wichurze.
Jest miejsce na cmentarzu
Co też do symbolu urasta ...
Pamiętna w szóstej kwaterze
Mogila czterysta czterysta.
To z niej wzięto prochy żołnierza bez nazwiska
i sławy,
By jako NIEZNANY ŻOŁNIERZ spoczął w sercu
Warszawy.

A miejsce centralne — honorowe —
Zdobi połyskiem marmur różany ...
Tu spoczęli po bitwie krwawej
Czterej żołnierze nieznani.
Mogily, mogily, mogily — obrońcy znani
i nieznani,

Krew wasza sił dodaje, gdy trzeba bronić granic!
A oto dumna kolumnada
Rozległym łukiem spięta,
Co jak orlica — matka stada —
Czule osłania swe Orłęta.
Lecz się na usta cisną westchnienia ...
Czy to był sen, czy są to wspomnienia?
Dziś wzgórze tonie w martwej głuszy
Miast dostojenstwem urzekać ...
Czego bieg czasu nie naruszył!
Zniszczyła ręka człowieka ...
Łańcuchy oprawcy smukłe oplótły kolumny ...
Aż runął w gruzach ... Pomnik Chwały dumny.
Okrutna prawda uciska i dławi,
Jak niemoc kamieniem na sercu ...
— I oto nastał duch czasu łaskawy ...
— Rodacy godność przywracają miejscu!
Gdziekolwiek spoczywasz mężny Ojczyzny
Obrońco ...
Zawsze Ci będzie jaśnieć blask polskiego słońca!

Stosunkowo często otrzymujemy wiersze pisane z tak zwanej „potrzeby serca”. W świątecznym wydaniu naszego pisma przytaczamy kilka wybranych — niech przyniosą radość Autorom i Czytelnikom.

MICHAŁ STRUTYNSKI

Współczesność

Walka o prawdę od wieków trwa
Kiedy się skończy?
Co w efekcie da?

Rocznica

Niepodległości już ponad 70 lat!
A ileż po drodze historycznych strat?

Niepokój

Człowiek Człowiekowi Człowiekiem
Byle szybko.
Byle zdążyć przed dwudziestym
pierwszym wiekiem.

ANDRZEJ MAŁYSZKO

Szachy

Szeroka gama tematów, poruszanych w trzech pierwszych numerach pisma TML „Semper Fidelis”, świadczy o ogromnym potencjale twórczym i różnorodnych zainteresowaniach przedwojennych lwowiaków. Chciałbym wyrazić uznanie dla Redakcji za to, że drukowane w tym piśmie artykuły są interesujące nie tylko dla starszych rdzennych lwowiaków, ale również potrafią zaciekawić i oczarować wielu ludzi młodych, którzy dawny Lwów znają tylko z opowiadań. Do tego grona i ja się zaliczam. 33-letni mieszkaniec Koszalina; należę również do TMO Oddział Koszalin.

Nie mam tak interesujących wspomnień z czasów świetności Lwowa ze zrozumiałych względów, ale chciałbym służyć sprawie lwowskiej pracą nad dziedziną, którą

podobnie jak wiele innych, przydawała blasku i podnosiła rangę miasta; dziedziną tą były SZACHY LWOWSKIE.

Prof. Jerzy Szapiro, z którym z wielką przyjemnością rozmawiałem w październiku 1989 r., tak wyraził się o „królewskiej grze”: „szachy przed wojną były elementem obyczajowości kultury polskiej”. To piękne zdanie świetnie pasuje do miłośników sztuki szachowej z dawnego Lwowa. Szachami pasjonowały się setki, a przez tyle lat to nawet tysiące lwowian. Swego czasu, w latach dwudziestych i trzydziestych naszego wieku, Lwów posiadał najliczniejszą i najlepiej zorganizowaną ligę drużynową w Polsce, jak również wydawał 7 tytułów czasopism szachowych, tyle co wielka Warszawa. Gazety lwowskie, jak „Wiek Nowy”, „Słowo Polskie”, „Sport”, „Chwila” i wiele innych, prowadziły działy szachowe. W miejskich klubach rozgrywano różnego typu turnieje szachowe. Lwowski Związek Szachowy, a także poszczególne kluby zapraszały znakomitych arcymistrzów, tak krajowych, jak i zagranicznych, np.: A. Rubinsteina, R. Spielmana, K. Tartakowera i innych. Inną specjalnością szachową, z której słynął Lwów, była kompozycja szachowa. Zajmowało się nią przez wiele lat kilka pokoleń szachistów lwowskich. I w tym miejscu chciałbym przejść do meritum sprawy. W ubiegłym roku zamieściłem w Biuletynie TML informację, że zajmuję się szachami lwowskimi. Gdy już traciłem nadzieję, że ktokolwiek odezwie się, w lutym tego roku otrzymałem list od prof. Anny Hillbricht-Ilkowskiej z Warszawy. Pani Anna pytała mnie, czy słyszałem cokolwiek o jej stryju szachiście, doktorze Aleksandrze Hillbrichcie. Tym ostrożnym pytaniem sprawiła mi ogromną radość (jak się później okazało, zadowolenie było opóźnione), bo właśnie dr Aleksander Hillbricht otwiera opracowywany przeze mnie poczet szachowych kompozytorów lwowskich.

W 1986 r. ukazała się na rynku księgarskim pozycja o charakterze encyklopedycznym *Szachy od A do Z* autorów J. Giżyckiego i W. Litmanowicza. Niestety, nie ma tam mowy o stryju p. Anny. Toteż by zrehabilitować choćby częściowo niedobór tego opracowania, podaję wszystkie zebrane przeze mnie informacje biograficzne o doktorze Hillbrichcie.



Dr Aleksander Hillbricht (ok. 1900 r.)

Aleksander (Klemens, Ferdynand) Hillbricht urodził się 17 marca 1871 r. we Lwowie jako najstarszy syn Emila Hillbrichta, długoletniego sędziego Sądu Powiatowego w Brzeżanach i Sądu Krajowego we Lwowie, oraz matki Sabiny, z domu Frey. Aleksander chodził do szkoły, a potem do gimnazjum w Brzeżanach i we Lwowie. Ten okres nauki zakończył egzaminem dojrzałości w CK gimnazjum w Brzeżanach jako eksternista w 1891 r. Ze wszystkich swoich braci, a miał ich czterech, Aleksander wyróżniał się niezwykłą inteligencją, wyobraźnią, różnymi talentami. W kompozycji szachowej debiutował w 1891 r., ale właściwą działalność rozpoczął w cztery lata później na łamach „Deutsche Schachzeitung”. W kompozycji holdował kierunkowi wytyczonemu przez „Szkołę czeską”. Na jego dorobek składa się około sto zadań, z czego 30 drukował za granicą i 30 w Polsce. Najlepsze prace powstały w latach dwudziestych. Prezentowana czterochodówka zdobyła pierwszą nagrodę w konkursie „Słowa Polskiego” w 1925 r. Aleksander Hillbricht oprócz zdolności szachowych przejawiał ożywioną działalność i w innych dziedzinach. Z wielką pasją zajmował się artystyczną fotografią amatorską, w tym również fotografią kolorową. Poświęcał się też malarstwu — malował pejzaże i martwą naturę, grywał na flecie i na skrzypcach, trochę komponował. Wszystkie te zamiłowania i pasje sprawiły, że Aleksander niezbyt chętnie oddawał się studiom prawniczym, które podjął ze względu na rodzinną tradycję. Niemniej ukończył je, a kariera w sądownictwie zaprowadziła go na stanowisko sędziego Sądu Apelacyjnego we Lwowie. Około roku 1900 ożenił się z Marią, z domu Heller, z którego to małżeństwa przyszła na świat córka Zofia.

W styczniu lub w lutym 1940 r. został aresztowany przez NKWD w swoim mieszkaniu, w ramach likwidacji przez te organy sądownictwa polskiego we Lwowie. Podobno wyszedł — jako że to było w nocy — ubrany w buty na gołe nogi, pidżamę i futro na nią zarzucone. Nigdy więcej nikt o nim nie słyszał — nie wiadomo gdzie i w jaki sposób zginął. Dla rodziny najważniejszą sprawą jest ocalenie jego imienia od całkowitego zapomnienia oraz odtworzenie ostatnich chwil jego życia. Może ktoś kiedyś go spotkał lub wie, co się stało z sędzią lwowskimi? Proszę o kontakt pod adresem: Andrzej Małyszko, ul. Związku Walki Młodych 7a/31, 75-062 Koszalin.

W tym miejscu chciałbym podziękować rodzinie, a szczególnie p. Annie Hillbricht-Ilkowskiej za udostępnienie „familijskiego” archiwum, i co za tym idzie — za możliwość niniejszej publikacji. Skoro jestem przy sprawach rodzinnych — pragnąłbym w podobny sposób nawiązać korespondencję z rodzinami innych szachistów. Może jest wśród czytelników „Semper Fidelis” ktoś, kto grał przed wojną lub w czasie wojny w szachy we Lwowie albo układał, komponował zadania szachowe, lub ktoś, kto miał w swojej rodzinie szachistę. Sam służę informacjami, które posiadam.

Na zakończenie przytoczę przykład obrazujący, jak niesamowicie drogi ludzkie łączą się w jedną całość za pomocą trzeciej osoby, w tym przypadku mnie. Otóż w październiku 1989 r. odwiedziłem w Zielonej Górze autora monografii szachowej Akiba Rubinsteina dra Władysława Korcza. Otrzymałem od niego zapis partii granej z Michajło Romaniszynem w Samborze w 1934 r. W kwietniu br., będąc we Lwowie, spotkałem się z najmłodszym synem Romaniszyna — Olegiem — arcymistrzem gry szachowej, który z wielkim zainteresowaniem przejrzał partię graną przez nieżyjącego już ojca. W dowód wdzięczności zrewanżował mi się zdjęciem i danymi swego rodzica, który brał udział w przedwojennych Mi-strzostwach Miasta Lwowa.

A oto próbka twórczości stryja p. Anny:

A. Hillbricht „Słowo Polskie” z 1925 r.

I nagroda

Mał w czterech posunięciach (rozwiązanie na s. 40).

Marian Wróbel w książce 100 lat polskiej kompozycji szachowej tak ocenił tę czterochodówkę: „[...] zadanie

to uważam za najlepszą kompozycję Hillbrichta. Odnacza się ona dobrym wstępem i dużą ruchliwością czarnego Króla, który zostaje zamiatowany na odległych od siebie polach a2, c5, f5. Wykorzystanie materiału dobre, zespolenie różnych siatek matowych nadaje oryginalność tej kompozycji”.

AKTUALNOŚCI

Żegnaj Tońku

„Siendnij ty sy tu Szczepciu kuło mni, bo mnie serdeczni nogi zboleli i sobie pobałakamy...”. Tak Tońciu zapraszał często swego kompana do rozmowy. Do jednego z tych słynnych dialogów radiowych, którymi przed wojną żyła cała Polska. Tońko był w tych rozmowach fajtlapą, safandulą, zadawał dziecinne, choć logiczne pytania. Denerwował Szczepka i ten nazywał swego przyjaciela „ty durnuwały pumidur”, sztorcował go za to, że narobił sztempu. Ale szybko się udobruchał i znów byli „dwaj oba cwaj”.

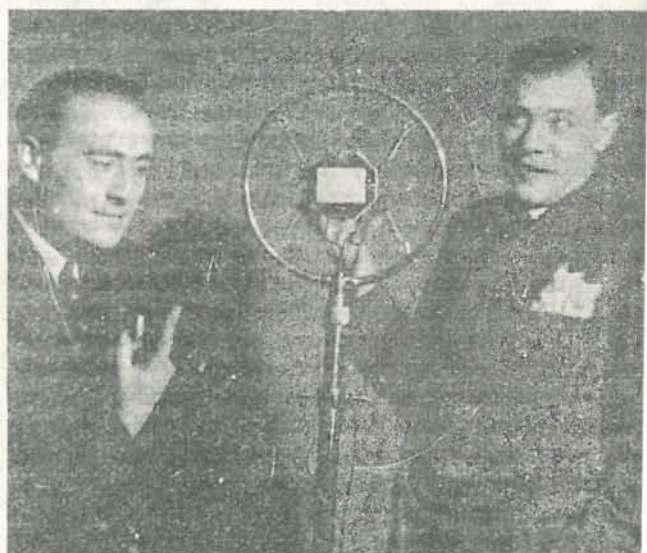
Taki był Tońko w audycjach *Wesołej Lwowskiej Fali*. A w życiu codziennym? Mówił z dumą, że jest dzieckiem Łyczakowa, podkreślał — górnego Łyczakowa. Bałak lwowski znał od urodzenia. Na swoim weselu popisał się historyjką, którą opowiedział tak, jakby to zrobił lwowski batiar. Jego serdeczny przyjaciel Wiktor Budzyński od razu zorientował się, że jest to doskonały radiowy skecz. Wkrótce dobrany został dla Tońka partner. Był to Kazimierz Wajda, chłopak z Gródka. I tak powstała para Szczepko i Tońko. Na ich rozmowy, uzupełnione z czasem innymi postaciami radiowej rodziny lwowskiej, czekano w całym kraju.

Szczepko i Tońko jeździli po całej Polsce, wystąpili w trzech filmach, a Tońko, czyli Henryk Vogelfänger, nie przestał być adwokatem, prowadził własną kancelarię i był syndykiem Lwowskich Zakładów Gazowniczych. Mieli kręcić kolejny film. Wojna przerwała wszystkie plany. Chlubna jest karta Szczepka i Tońka w czasie wojny. Zostali żołnierzami armii gen. Władysława Andersa, występowali podczas przedstawień frontowych.

Po zakończeniu wojny zostali na emigracji. Szczepko wcześniej wrócił do kraju po złagodzeniu represji na

skutek przemian październikowych. Niebawem zmarł. Tońko został profesorem gimnazjalnym w angielskiej szkole. Przed dwoma laty wrócił do Polski. Chciał być bliżej Lwowa. Nie dane mu było jednak znów ujrzeć swoje ukochane miasto.

Henryk Vogelfänger (Tońko, Henry Barker), urodzony we Lwowie 7 października 1904 roku, zmarł w Warszawie 9 października 1990 roku. Pozostał wśród nas ze swoimi dialogami, piosenkami, ze swoim serdecznym uśmiechem lwowskiego makabundy. Odszedł na zawsze jeden z najsłynniejszych lwowskich batiarów.



Tońko i Szczepko (Fot. archiwum)

Tonko! Plakaliśmy, gdy doszła nas ta okrutna wiadomość. Ale Ty tam w zaświatach na pewno powiedziałeś: „Ta przestańci si smarkać ... Tak miało być”.

St. Machowski

AURELIA MIKULIŃSKA-KORCZYŃSKA

Refleksje z pobytu polskich dzieci ze Lwowa w Krakowie

Słoneczne, jak na zamówienie, dni od 25 do 29 marca 1990 r. dzieci z polskiej szkoły nr 10 we Lwowie, reprezentujące kółko literacko-dramatyczne działające przy tej szkole od 35 lat, spędziły w Krakowie. Przyjechały do Krakowa dzięki ludziom dobrej woli. Dzięki krakowskiemu ZHP, Domowi Polonii, Nowohuckiemu Centrum Kultury, Politechnice Krakowskiej, dyrekcji „Wawelu”, Towarzystwu Miłośników Lwowa — Oddział Kraków i osobom prywatnym, krakowskim lwowianom, pobyt był

bardzo udany. Gdy przyszedł czas odjazdu do Lwowa była radość, serdeczność, uszczęśliwienie dzieci.

Nawiązały się bliskie kontakty osobiste między dziećmi Lwowa a dziećmi Krakowa, między dziećmi i dorosłymi ich opiekunami z Krakowa, między dorosłymi. I dziś przychodzą listy wyrażające podziękowania i za chwył.

Dzieci lwowskie przyjechały z programem pt. *Poezie dla dzieci*, na który składały się utwory Konopnickiej, Brzechwy, Tuwima. Było i kolorowo, i wesoło. Widownia pełna dzieci, młodzieży, dorosłych, głównie lwowskich krakowskich, nagradzała ich występy burzliwymi oklaskami. Dzieci ze Lwowa dały swoim teatrykiem „Ba

dużo radości najmłodszym, wiele wzruszeń starszemu pokoleniu lwowian, z których nikt nie chodził do tej samej szkoły we Lwowie pod dawną nazwą „Marii Magdaleny”.

Zaskakująca była literacka polszczyzna dzieci ze Lwowa. Ta cenna tradycja mowy wschodniaków sprzed wojny, zwłaszcza ówczesnej inteligencji, przekazana goszczącemu u nas dzieciom przez dyrekcję i pedagogów szkoły to zasługa obecnych z dziećmi w Krakowie m.in. mgr Marii Iwanowej — polonistki w pełnym tego słowa znaczeniu oraz mgr inż. Teresy Dutkiewicz — scenografa.

Szkoła nr 10 we Lwowie przy ul. Puszkina 1 bez mała od 35 lat walczyła o swój polski los, a im bardziej wstecz — walka ta była trudniejsza, nabrzmiała w bezsilność, lęk, strach i ... ryzyko! Przetrwiała! Co więcej, po 28 latach wysiłków, prawdopodobnie od nowego roku szkolnego 1990 — będzie miała status szkoły ogólnokształcącej. Jest to sprawa niebagatelna. Duża sprawa! Teatrowi szkolnemu m.in. będzie łatwiej kompletować zespół ze starszej młodzieży. Dotychczas teatr wystawił już 15 sztuk w języku polskim (ostatnio *Księżę i żebrak* M. Twaina).

Dzieci polskie ze Lwowa kochają swoje piękne miasto. Kochają swoją Polską Szkołę i są z NIEJ dumne. Szanują swoich polskich wychowawców, a wszelkie trudności nadrabiają istic lwowskim humorem. Do szkoły przekazywane są polskie książki, w tym podręczniki. Bariery kurczą się. Dzieci, skądkolwiek by były, są sobie coraz bardziej bliskie. I to jest wspaniałe!

Jeszcze raz tą drogą, przez „Semper Fidelis”, przesyłamy z Krakowa polskim dzieciom we Lwowie wiele, wiele najlepszych życzeń.

A oto wzruszający wiersz młodziutkiej polskiej poetki, uczennicy szkoły nr 10 we Lwowie, Beatki Kost — recytowany przez nią w trakcie występu teatryku „Baj” w Nowohuckim Centrum Kultury w dniu 27 marca 1990 r.:

Świeci się świeczka i topi,
Wosk kapie na szary kamień.
Wiatr dmuchnie i świeczka zgaśnie,
Jak ludzkiej pamięci płomień.

Był cmentarz we Lwowie. Przy bramie
Dwa lwy broniły wstępu
Snem wiecznym tu spoczywały
Bohaterskie Lwowskie Orleńta.

Zginęli za swoją wolność.
Za wolność swojego kraju,
lecz nie sądzone im było
W ziemi znaleźć spokoju.

Mijały dnie i miesiące,
Mijały zimy i lata,
Aż nad cmentarzem Orleńt
Podniosła się ręka kata.

Noc cicha nad miastem się skrada,
Dla mogił żołnierskich zagłada!
Choć nie znał kat nic świętego,
To bał się dnia białego.

Zniszczone Orleńt schronienie,
Zrównane z ziemią mogiły
Patrzyły błagalnie w niebo.
Litości ludzkiej prosiły.

Lecz przyszedł koniec dla kata.
Nic nie ma na świecie wiecznego!
I człowiek zrozumiał wtedy,
Że stracił coś świętego.

Świeci się świeczka i topi,
Wosk kapie na szary kamień.
Ze snu głębokiego się budzi
Ludzkiej pamięci płomień.

JERZY JANICKI

Listy do Lwowa

Drogi Zbysku,

i znów, mimo naszych spotkań we Lwowie, nie zdołaliśmy tego czasu wypełnić należycie. Zbyt pośpieszne są te nasze rozmowy, obrzucamy się wzajem garściami informacji, pobieżnymi obserwacjami, nadto ja wzrok mam rozbiegany, wciąż chcę coś nowego zarejestrować w tym Lwowie, pewnie przez to słucham Cię nie dość skupiony, nanizuję na pamięć jakieś mało znaczące obrazy chwytane w locie podczas przechodзки przez miasto: a to, że rozebrano pomnik Lenina przed Teatrem, a to, że na Klaryskach zamieniono tablicę z nazwą ulicy Lenina na Łyczakowską, to znów że pośród znaków drogowych na Zamarstynowskiej ustawiono tablicę wskazującą wyłączone miejsce parkowania polskich wozów z informacją „for Poland”, co jest i błędne logicznie (bo nie dla Polski ten plac, lecz dla Polaków), i moralnie podejrzaną, bo taka selekcja narodowościowa znana już była w tym mieście, tylko pod innym panowaniem.

Wracam potem do Warszawy z pamięcią jakby spreparowaną przez skrzętnego, agencyjnego żurnaliste, który w serwisie nie pominął żadnej aktualności, lecz też żadnej nie opatrzył należyty komentarzem. Refleksje

przychodzą dopiero później, kiedy przewracając się z boku na bok w kolejną bezsenność, gapię się na jakąś osamotnioną jesienną gwiazdę, nie mogąc się wyzbyć uczucia zazdrości, że i Ty na nic patrzysz w tej chwili, tyle że z łóżka na Persenkówce, a nie jak ja, z przymusu, na Sadybie.

No więc znów mamy Łyczakowską. Wspaniale! I Gródecką, i Kleparowską, i Zamarstynowską, i nawet Rappa-porta. Mimo braku czasu, popychany jakimś irracjonalnym impulsem, przeszedłem się na piechotę tą moją znów Łyczakowską. Od Klarysek aż po naszą budę im. Zimorowicza. W lecie także tak szedłem, wtedy jeszcze ulicą Lenina. Cholera, żadnej różnicy! Przypomniało mi się, jak przed kilkudziesięciu laty byłem na reportażu w Pilźnie Czeskim. Opowiadano mi, że kiedy Niemcy zajęli słynny browar, natychmiast rzucili się do kas pancernych, by zdobyć recepturę „Pilznera”. Zaczęli w Bawarii warzyć piwo według tych wskazań. Pilzner im jednak nie wychodził. Sądził więc, że tajemnica tkwi w tutejszej wodzie, poczęli ją zatem całymi cysternami wywozić. I wciąż nie był to Pilzner. A Czesi patrzyli na te zabiegi spokojnie wiedząc, że cała tajemnica tkwi w mikrobach, które wytwarzane przez miejscowe wapienne skały, wpływają na szczególny rodzaj fermentacji. Mikrobów, jak wiadomo, nawet przy niemieckiej organizacji nie udało się wywieźć. Etykieta „Pilsner-bier” przyklepiona była do flaszki z wciąż zupełnie innym piwem.

I otóż coś podobnego jest teraz z tą Łyczakowską. Bez nas batiarów, bez szóstej budy, bez szpitalika Św. Zofii, bazaru Antoniego, koszar zapasowych 14 pułku Ułanów Jazłowieckich, głuchoniemych, Engelkreisa i Rudówny ... Czyżbyśmy byli tymi mikrobami, których zabrakło teraz przy wymianie etykietek? Styl, koloryt, klimat miasta tworzą ludzie, ich obyczaje i nawyki, ich mozolny znój w budowaniu tradycji przekazywany od pradziadka po wnuka, dlatego choćby i wszystkim naraz ulicom i placom przywrócono ich dawne brzmienie, tak długo to miasto będzie tylko punktem geograficznym na mapie, dopóki znów nie będzie Lwowem, lecz Lwiwem.

Piszę to wszystko w dniu, dla nas lwowiaków szczególnie smutnym: przed chwilą dano znać z lecznicy, że umarł Tońko. Znów o jednego z nas mniej, którzy wiedzą jakie naprawdę to było miasto. Przed tygodniem przywozłem mu do szpitala tę właśnie świeżą wiadomość, że Łyczakowska znów jest Łyczakowską. „Pamiętasz ty, Jurciu, jeszcze trochę łacinę? — spytał — Otóż „non idem semper floribus color est”. Co się tłumaczy, że kwiaty nie zawsze mają ten sam kolor. Istotnie, koloru prawdziwej Łyczakowskiej żadna nie podrobi farba.

Cóż za fatalny rok dla naszej pozostałej przy życiu garstki, nie masz zebrania czy imprezy, której nie rozpoczynalibyśmy na stojąco, czcząc chwilą ciszy pamięć kogoś, kto nas właśnie opuścił. Tońko... — monarcha absolutny bałaku ... A w lipcu Janusz Budzyński — dynastyczny dziedzic rewii lwowskiej, którą po ojcu — Wiktorze — wskrzeszał u nas w TML po estradach i kabaretach... A miesiąc przedtem — dr Irena Pelczarska — wódarz ostatniej, jak zwykliśmy mawiać — „stancji kresowej” na Snopkowie. Nigdy nie opuściła Lwowa. Do ostatniej chwili przewodniczyła parafialnemu ko-

mitetowi przy Katedrze, która jedna jak maszt zatopionego okrętu nigdy nie dała się zatopić wzburzonemu falom zalewającemu miasto. Jeszcze dwa tygodnie przed śmiercią była w Warszawie. Na Uniwersytecie otrzymała medal wybitny w stulecie Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Tego medalu przez cztery lata komunistyczne władze nie zezwalały wytłoczyć, bo na rewersie wybita była ta nieporęczna dla nich nazwa Lwowa. To Towarzystwo zawiązane zostało 8 maja 1886 roku we Lwowie i miało swą siedzibę przy Św. Mikołaja 21. Pierwszym jego prezesem był prof. Roman Pilat, po nim Wilhelm Bruchnalski. Wydawali „Pamiętnik Literacki”, którego szpalty wypełniali niebyle kto, bo: Brückner, Chmielowski, Kallenbach, Nehring. Po wojnie tradycje lwowskiego Towarzystwa przejęli poloniści warszawscy. Medal wręczała Irenie Pelczarskiej dziekan wydziału polonistyki UW prof. Smułkowa. Przed Ireną Pelczarską medal otrzymał ni mniej ni więcej tylko Czesław Miłosz. Takie więc miała parantele ta wspaniała lwowianka, dla której los, choć po śmierci, okazał się hojny i łaskawy: przykryła ją święta łyżczakowska ziemia. Miałem zaszczyt przemawiać nad Jej grobem. Dziewięciu księży celebrowało w Katedrze, nieprzeliczone tłumy sunęły alejkami Łyczakowskiego cmentarza, mijając kamienne pomniki przeszłości: Bełzę, Grottgera, Zapolską, Gębárovicza, Kurylię, Banacha ... Dołączyła do nich — małutka, drobniotka posturą, ale wielkością ducha im równa. Ich wszystkich pomieściły już dawno encyklopedie. Już choćby tylko z tego jednego powodu, by w hasłach z literą „P” nie brakowało Ireny Pelczarskiej, czas nam pomyśleć o encyklopedii Lwowa. Litera scripta manet ...

Do następnego listu,

Twój Jurek

W ŚWIĄTECZNYM NASTROJU

Bedzie PANORAMA PLASTYCZNA DAWNEGO LWOWA!

Wielu historyków i ludzi pióra czy to jeszcze po łacinie, czy też w języku polskim opisywało piękno swego grodu. Ewenementem jednak było stworzenie osiemnastowiecznego modelu dawnego Lwowa dzięki benedyktyńskiej pracy inż. arch. Janusza Witwickiego. Model ten, po wielu burzliwych kolejach losu i częściowym rozkradzeniu podczas przechowywania w Muzeum Architek-

tury we Wrocławiu, jest obecnie uzupełniany i konserwowany. To, że jeszcze jest możliwe uratowanie naszej narodowej pamiątki, zawdzięczamy wdowie po zamordowanym twórcy, pani Irenie Witwickiej.

O bliższych szczegółach powiadomimy Szanownych Czytelników w „Semper Fidelis”.

Zdzisław Ojczyński

KAZIMIERZ REISS

Anegdoty lwowskie

Perfumeria. We Lwowie przy ul. Legionów niedaleko sklepu Wedla była perfumeria pod nazwą „ENIS”. Znanym z poczucia humoru ówczesny doc. W. Koranyi, późniejszy rektor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, proponował, by nazwę spolszczyć na „UTAS”.

Impotencja. Starszy pan spotkał znajomego lekarza i skarżył się, że ma pewne trudności ze sprawami miłosnymi. Lekarz niezwłocznie wręczył mu receptę na jakieś tabletki i polecił przyjmować po jednej przed potrzebą. Pan wykupił lek. Idąc do domu rozmyślał, że mówił o pewnych trudnościach, a tu w rzeczywistości jest zupełnie źle, wobec tego lyknął całe opakowanie leków. Następnego dnia lekarz ciekawy rezultatu poszedł do domu znajomego pacjenta. Drzwi otworzył blady lokaj. Na pytanie — Co słychać?, odpowiedział: — Sodoma i Gomora, panie doktorze, pani zmarła, służąca kona, ja ledwo chodzę, a pan teraz za kotką ugania się po strychu.

Wystawna kolacja. Z okazji imienin zebrało się większe grono gości. Zasiadli do stołu. Wśród licznych potraw jest pieczony indyk z maronami (jadalnymi kasztanami). Pani domu zwraca się do gosposi: — Niech Kasia poda pierś panu rektorowi.

Zmiana projektu. Stary hrabia woła do swego równie starego lokaja: — Janie, przynieś mnie klucz do prewetu (tak zwano wówczas wychodek). Jan człapie i niesie klucz. Hrabia: — Janie, zmieniłem projekt, przynieś czyste gacie.

Cytryna. Janie, czy cytryna ma nóżki? Ależ nie, proszę jaśnie pana. A psia krew, znów wycisnąłem kanarka do herbaty.

Zimna Woda. Pod Lwowem była osada kolejarska Zimna Woda. Był tam dworzec kolejowy. Często batiary wołali do konduktora: — Panie konduktorze, czy w Zimnej Wodzie staje?

Perpetuum mobile. Stary profesor politechniki pyta głupawą studentkę i daje jej proste pytanie: — Co to jest perpetuum mobile? Ta myśli i wreszcie powiada: — To jest takie urządzenie, które nigdy nie staje. Proszę pani — powiada profesor — ja mam takie urządzenie, ale to nie jest perpetuum mobile.

Fatalna pomyłka. Młody hrabia przyszedł do lekarza chirurga i domagał się, by go wykastrować. Lekarz odmówił, twierdząc, że jest to ciężkie uszkodzenie ciała i nie ma żadnych wskazań do takiej operacji. Pacjent mocno nalegał. Wreszcie przekonał go, oferując 10 000 zł. Była to równowartość mercedesa. Po operacji, gdy pacjent wrócił do przytomności, lekarz zapytał, dlaczego zdecydował się młody człowiek na takie okaleczenie. Młodzieniec powiada: — Nabrałem do pana zaufania i powiem. Zenię się z Żydówką, młodą, piękną i bardzo bogatą. Rodzina narzeczonej postawiła mnie taki warunek. — Ależ hrabio, to pewnie chodziło o obrzezanie? — Proszę pana doktora, kto by się na tych waszych terminach lekarskich wyznawał!



STANISŁAW MACHOWSKI

Polskie Termopile Zadwórze pod Lwowem

„W szkole im. Jana III Sobieskiego we Lwowie była zbiórka żołnierzy armii ochotniczej i stamtąd w sierpniu 1920 roku chłopcy wyszli na front...” Tak wspomina pan Władysław Targalski ten wymarsz sprzed 70 laty. On miał wtedy 16 lat, ale już był żołnierzem Rzeczypospolitej. W listopadzie 1918 roku stanął w szeregu obrońców swego ukochanego miasta. Był jednym z Oriąt. Miał przecież dopiero 14 lat. Do dziś zachowały się jego zdjęcia z czasów obrony Lwowa. Na jednym stoi z karabinem sięgającym mu do ramienia, a obok niego wysoki żołnierz, obaj w maciejówkach; to zdjęcie obiegło całą Polskę; podpis pod nim: „Najniższy i najwyższy z obrońców Lwowa”.



Najniższy i najwyższy obrońcy Lwowa. Z lewej Władysław Targalski

Władek Targalski chlubi się, że był „Bemakiem”. Walczył na odcinku koszar Józefa Bema. Ta grupa wśląwiła się wielkim bohaterstwem i odwagą. A potem, gdy przerwali linię frontu, zdobyli koszarę na ul. Jabłonowskich. Zrobiono tam zdjęcie 2 kompanii 1 pułku strzelców, do której Władek należał. On siedzi na podłodze w pierwszym rzędzie z harmonią, którą znalazł w ko-

szarach i którą mu podarowano, a wśród oficerów kapitan Stanisław Maczek, dziś sędziwy generał na emigracji w Anglii, bohater kampanii wrześniowej 1939 roku i legendarny dowódca 1 Dywizji Pancernej, która wyzwalała Holandię w końcowych bojach II wojny światowej. Jest na tym zdjęciu również późniejszy generał Schleyer i generał Mossor, których po wojnie skazano w perfidnym procesie znanym pod nazwą procesu generała Tatara. Ci młodzi wówczas oficerowie we Lwowie w 1918 roku stoczyli pierwsze boje w obronie Polski.



Obroncy Lwowa „Bemacy” w koszarach przy ul. Jabłonowskich. Z harmonią Władek Targalski, rząd wyżej, obok oficera z fajką, ówczesny kapitan Stanisław Maczek
Repr. M. Koch

Niespełna dwa lata Orięta Lwowskie zasiadały w ławach szkolnych. I oto ci chłopcy znów musieli wziąć broń do ręki. Nikt ich nie zmuszał, sami tego chcieli. Konnica Budionnego zbliżała się do Lwowa. W całej Polsce rzucono hasło „Do broni!”. We Lwowie do komisji poborowych zgłaszali się nawet najmłodsi. Zrazu nie chciano Władka Targalskiego przyjąć w wojskowe szeregi. Ale gdy pokazał dokumenty stwierdzające, że walczył już w obronie Lwowa, i gdy znajomy oficer poznawszy go, poparł jego starania, prosto ze szkoły Jana III Sobieskiego poszli na front.

„Po walkach we wsi Kupcze, Rakobuty, Kutkorz kompania została rozbita. Przedzieraliśmy się grupami przez



Uroczystości rocznicowe bitwy pod Zadwórzem na Rynku we Lwowie pod ratuszem. Pierwszy z lewej prezydent miasta dr Stanisław Ostrowski, drugi — komendant lwowskiego DOW gen. Władysław Langner, z prawej sprawozdawca radiowy Kazimierz Wajda, popularny „Szczepko”
Repr. M. Koch

las. Natknęliśmy się na batalion majora Zajączkowskiego. Nie chciano przyjmować obcych. Ale poznałem porucznika Hanaka, którego ojciec przyjaźnił się z moim ojcem. Wymieniłem swoje nazwisko i natychmiast nas przyjął. To było 16 sierpnia. Na drugi dzień nad ranem zostałem ranny. Odłamek szrapnela rozszarpał mi udo. Bardzo krwawiła ta rana, ale na szczęście była powierzchowna. Zrzuciłem swoją wojskową bluzę, aby zdjąć koszulę i zatamować nią krew. I wtedy zjawił się żołnierz konny Budionnego. Zatrzymał się przy mnie i powiedział «Malczyk, chto tiebie?». Wziął mnie pod pachę jak jakiś tobołek, posadził obok siebie na koniu i zawiózł do lazaretu. Potem trafiłem do szpitala w Berdyczowie».



Władysław Targalski na czele patrolu ze Lwowa do Krakowa

Repr. M. Koch

Władysław Targalski barwnie opowiada dziś o tych przeżyciach. Mówi o bitwie pod Zadwórzem, która przeszła do historii pod nazwą Polskie Termopile. O bohater-skich żołnierzach głośno było nie tylko w Polsce. Wśród walczących znajdowała się przebrana za chłopca młodzieńca dziewczyna Jarosiewiczówna. Ranna od cięcia szabłą i cudem uratowana znalazła się w szpitalu, gdzie dopiero stwierdzono, że to nie jest chłopiec. Batalion majora Zajączkowskiego został dwukrotnie rozбит, porucznik Hanak, nie chcąc poddać się, odebrał sobie życie. Około 350 żołnierzy zginęło.

Władysław Targalski po opuszczeniu szpitala wojskowego został wysłany do Charkowa. Przebywał tam w III obozie roboczo-plennym. Pracował w różnych zakładach. Razem z nim był jego kolega ze Lwowa Marian Cionka. Postanowili uciec. Ucieczka się udała. Ilekroć byli zatrzymywani, mówili, że są z rozbitej podczas wojny rodziny. Nikt nie przypuszczał, że ci chłopcy mogą być żołnierzami i jeńcami. Po licznych przejściach znaleźli na jakiś czas schronienie u pewnej Polki. Jej syn dał im pieniądze na pociąg i pojechali w kierunku polskiej granicy. W listopadzie 1920 roku znów byli we Lwowie.

Władysław Targalski został wiceprezesem Związku Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej 1918—1920. Był też wiceprzewodniczącym kapituły Krzyża, który wręczano tym ochotnikom. Przewodniczącym był dr Lesław Węgrzynowski, komendant służby sanitarnej podczas obrony Lwowa — po II wojnie światowej znalazł się we Wrocławiu, był profesorem Akademii Medycznej, wybitnym fizykiem. Zmarł z dala od ukochanego Lwowa, został pochowany na cmentarzu Św. Wawrzyńca przy ul. Bujwida.

Władysław Targalski wspomina rocznicowe patrole zadwórzaków. Zazwyczaj w sierpniu odbywały się takie marsze z Zadwórzka do Lwowa. Meta znajdowała się w koszarach na Łyczakowie, defilada miała miejsce na pl. Bernardyńskim. Szczególnie uroczysty był patrol ochotników z 1920 roku ze Lwowa do Krakowa w 25

rocznicę Czynu Legionowego. Patrol, który prowadził Władysław Targalski, został powitany w Prokoćmiu przez gen. Bohatyrewicza — prezesa Zarządu Głównego Związku Ochotników. W 1940 r. gen. Bohatyrewicz został zamordowany w Katyniu. Po defiladzie na krakowskich Błoniach patrol lwowskich ochotników został przyjęty przez marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Władysław Targalski jako komendant patrolu zameldował się marszałkowi i złożył następujący meldunek:



Przewodniczący kapituły Krzyża MOAO dr Lesław Węgrzynowski wręcza odznaczenie hr. Tadeuszowi Dzieduszyckiemu

Repr. M. Koch

„Panie Marszałku! Chcąc uczcić 25 rocznicę czynu legionowego, przynieśliśmy ze Lwowa, idąc pieszo, pamiątkowy akt w tym pocisku, który ma być przestrogą dla wrogów, dokumentując naszą postawę fizyczną i gotowość bojową na każde wezwanie. Jesteśmy wszyscy gotowi — jeśli zajdzie potrzeba — do obrony granic Rzeczypospolitej”.

Marszałek Rydz-Śmigły uściśnął wszystkim dłonie, podziękował za trud marszu, a przyjęty pocisk ze znajdującym się wewnątrz dokumentem wręczył swojemu adiutantowi.

Zapewnienie Władysława Targalskiego „jesteśmy wszyscy gotowi — jeśli zajdzie potrzeba — do obrony Rzeczypospolitej” niebawem zostało spełnione. Dorośli już żołnierze z Obrony Lwowa, zadwórzacy, stanęli w szeregach obrońców ojczyzny we wrześniu 1939 roku. Znow przyszło im bronić swoje ukochane miasto, tym razem przed nacierającymi wojskami hitlerowskimi. O mało znanych, zapomnianych epizodach tych walk na przedmieściach Lwowa, na rogatce Stryjskiej, Janowskiej, Kleparowskiej, w lasku Biłohorskim, napiszemy innym razem.



VOTUM DO OBRAZU M. BOSKIEJ OSTROBRAMSKIEJ zanesiony pieszo ze Lwowa do Wilna przez patrol b. Ochotn. A. P. Oddział Lwów, 17. VII — 15. VIII, 1938.

Repr. M. Koch

Stanisław Lasiota

Urodził się 5 V 1900 r. w Starym Samborze, gdzie czasowo w Sądzie Powiatowym pracował jego, urodzony w 1863 r., ojciec Antoni. Opowiadania ojca o znanych mu ze słyszenia wydarzeniach Powstania Styczniowego oraz starania matki Franciszki, z domu Bamburów, sprawiły, że atmosfera domowa pełna była rodzinnego ciepła, religijna i niepodległościowa.

W 1912 r. Stanisław, który brał przykład ze starszych braci, wstąpił do harcerstwa. Wybuch wojny w 1914 r. spowodował rozdzielenie braci; starsi wiekiem zostali żołnierzami: Józef — Legionu Wschodniego, Edward — 3 pułku Legionów Polskich. Stanisław ochotniczo wstąpił do pododdziałów Polskiego Korpusu Posiłkowego, skąd po okresie kilkumiesięcznego przeszkolenia został zwolniony.

W dniu 3 XI 1918 r. Stanisław Lasiota przedostał się poprzez ukraińskie linie bojowe i zgłosił się w Domu Technika przy ul. Issakowicza — miejscu organizacji i postoju pierwszego odcinka obrony miasta. Został przydzielony do obrony Szkoły Kadeckiej, gdzie walczył do dnia 22 XI 1918 r. Wśród obrońców szkoły na szczególną pamięć Stanisława Lasioty zasłużyli studenci szkół wyższych, którzy brali udział w pierwszym ogólnopolskim zjeździe akademików we Lwowie. Delegaci na ten zjazd, wobec realnej groźby przejścia miasta przez Ukraińców, podjęli 31 X 1918 r. doniosłą w późniejszych następstwach uchwałę mówiącą „o konieczności porzucenia nauki, by bronić Ojczyzny” i w większości natychmiast przystąpili do praktycznego realizowania tej uchwały w obronie miasta¹. Po zwycięskim zakończeniu działań bojowych w budynku Szkoły Kadeckiej, w rejonie Parku Stryjskiego i na terenie starego cmentarza Stanisław Lasiota otrzymał przydział do 2 kompanii 39 pp Strzelców Lwowskich i ponownie znalazł się na linii bojowej. Tym razem miał jednak mniej szczęścia, gdyż wkrótce został ranny w nogę i poddany leczeniu w szpitalu zlokalizowanym w gmachu Politechniki Lwowskiej. Za udział w obronie miasta otrzymał krzyże: Niepodległości, Walecznych, Obrony Lwowa oraz Odznakę „Orleńską”. Po okresie rekonwalescencji Stanisław Lasiota w 1919 r. zdał egzamin dojrzałości.

Ponownie do obrony Ojczyzny starszy strzelec Lasiota zgłosił się ochotniczo w 1920 r. i do listopada walczył w szeregach 205 pułku artylerii konnej, po czym Wojskowa Komisja Lekarska uznała go za inwalidę wojennego.

Po zdemobilizowaniu podjął pracę zawodową — przez 2 lata śpiewał w chórze Opery Lwowskiej, a od 1923 r. został pracownikiem Kuratorium Okręgu Szkolnego. W 1931 r. ukończył studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Lwowskiego z tytułem magistra praw, awansował na stanowisko naczelnika wydziału, następnie zastępcy kuratora. Obowiązki na tym stanowisku pełnił do 22 IX 1939 r., gdy nastąpiła totalna wymiana pracowników kuratorium. W okresie okupacji radzieckiej zmuszony został do podjęcia pracy w charakterze pracownika fizycznego kolejno w budownictwie, ogrodzie szkolnym i jako robotnik sceny Teatru Wielkiego we Lwowie. Po zajęciu miasta przez Niemców pracował w Spółdzielni Spożywców „Jedność”. Od 1939 r. należał do Związku Walki Zbrojnej, a od 1941 r. pełnił funkcję kierownika w Szefostwie Łączności Obszaru Wschód Armii Krajowej. Szczęśliwie uniknął aresztowania i po powtórnym zajęciu miasta przez Armię Czerwoną znalazł zatrudnienie w stołowie Rafinerii Nafty, gdzie pracował do czasu wyjazdu do Polski w maju 1946 r.

Lasiotowie zamieszkali w Gdańsku, gdzie Pan Stanisław podjął pracę na stanowisku księgowego w Gdańskiej Fabryce Opakowań Blaszanych, później awansował na stanowisko zastępcy dyrektora d/s ekonomicznych i po dwudziestu latach pracy z dniem 30 V 1966 r. przeszedł na emeryturę. Pracował jeszcze na pół etatu w Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego w Gdańsku. Za okres pracy zawodowej otrzymał wiele odznaczeń, odznak honorowych oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

¹ Redakcja przygotowuje publikację, w której szeroko zostaną omówione społeczne i polityczne następstwa wynikające z uchwały lwowskiego zjazdu akademików.

Opracował Henryk Staniuk

POSZUKIWANIA

Szanowna Redakcjo!

Przemyśl, 26 07 1990 r.

Zwracam się z prośbą o wydrukowanie mego listu. Jeszcze do niedawna nie wiedziałam, jak naprawdę się nazywam, czy Justowicz, jak dano mi w sierocińcu we Lwowie, czy jak pamiętałam, Just. „Kobieta i życie” wydrukowała mój list i dziś wiem, że nazywałam się Just, że mój dziadek Teodor miał obywatelstwo miasta Lwowa i jest pochowany na cmentarzu Janowskim. Ojciec mój nazywał się Norbert Just i miał fabrykę czekolady gdzieś we Lwowie, ale gdzie? Podobno potrafił w czasie antraktu w teatrze rzucać z balkonu na widownię czekoladki, chcąc je rozreklamować.

Ożenił się z p. Jadwigą, z którą nie miał dzieci i żył w separacji, a potem się rozwiódł, tzn. wtedy, gdy poznał moją matkę. Nazywała się Halpernowna, a jej rodzice mieli cukiernię we Lwowie róg Jagiellońskiej i Kołtataja. Podobno mieli jakiś ślub, ale jaki ślub? Skoro cywilnych we Lwowie nie było? Działo się to około roku 1937. Oboje wyjechali i nie wiem, gdzie się urodziłam. Wiem, że matkę rozstrzelali Niemcy w Zako-

panem na cmentarzu przy Nowotarskiej. Ojciec zdążył uciec do Lwowa, gdzie i mnie zawieziono. W roku 1942 lub 43 poszedł do cukierni Urbanika, tam go ktoś wydał. Gestapo zabrało go z cukierni. Potem został rozstrzelany przy Łackiego.

Mnie ukrywała jego pierwsza żona, ale mnie też szukano. Oddała mnie do sierocińca przy Szymanowiczów. Tam mi zmieniono nazwisko i wkrótce wszystkie dzieci Niemcy chcieli wywieźć do Rzeszy. W Krakowie wykupiło nas RGO. Rodzina, która mnie wzięła, wychowała mnie. Kilka razy dawałam ogłoszenia, ale dopiero trzy miesiące temu dowiedziałam się o części mego dzieciństwa. Natomiast rodzina matki dalej jest dla mnie wielką niewiadomą. Wiem, że mama była dużo młodsza od taty, podobno zerwała ze swoim narzeczonym, a także rodziną, która nie była zachwycona jej wyborem. Ja jednak mam nadzieję, że może ktoś coś wie o tej historii sprzed lat, wielkiej miłości panny Halpern i pana Norberta Justa.

Barbara Łuszczyszyn
ul. Armii Krajowej 11/2, 37-700 Przemyśl

Poszukuję osób, które mogą udzielić informacji o ostatnich losach mojego stryja dra Aleksandra Hillbrichta (ur. 17 III 1871), w okresie przedwojennym sędziego Sądu Apelacyjnego we Lwowie. W styczniu lub lutym 1940 roku został aresztowany przez NKWD i zaginął bez wieści. Jego żonę, Marię Hillbricht z d. Heller oraz córkę, Zofię Hillbricht, aresztowano w tydzień po stryju i wywieziono w głąb ZSSR. Stryjenka Maria zmarła w kwietniu 1942 roku w Teheranie na cholerę (w trakcie wyjścia ludności polskiej razem z Armią Polską), zaś jej córka poprzez obozy polskie w Afryce wróciła do Polski, gdzie zmarła w 1965 roku. Nigdy nikt z rodziny nie dowiedział się, co się stało ze stryjem. Aresztowanie dra Hillbrichta oraz jego prawdopodobne rychłe zgładzenie było częścią szeroko zakrojonej akcji NKWD zlikwidowania sądownictwa polskiego na terenie Lwowa, podobnie jak polskiej administracji państwowej. Poszukuję osób, które mogą również podać więcej szczegółów o tej akcji — gdzie wywieziono sędziów, jaki był ich ostatni los, nawet gdyby nie był im znany osobiście los dra Aleksandra Hillbrichta.

Anna Hillbricht-Ilkowska
ul. Hoża 5/7, m 6, 00-528 Warszawa

Pan Edward Wrotniak, zamieszkały w Poznaniu, Osiedle Zwycięstwa 26/17, poszukuje byłych mieszkańców wsi Tarnawa Niżna, pow. Turka, woj. łwowskie. Sprawa bardzo pilna.

Police 1990.09.06

Jestem studentem historii Uniwersytetu Szczecińskiego, a zarazem członkiem Oddziału Szczecińskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa. W chwili obecnej zbliżam się do końca moich studiów i zaczynam gromadzić materiały i informacje potrzebne mi do napisania pracy magisterskiej nt. 19 pułku piechoty AK „Odsiecz Lwowa”, który odtworzony w konspiracji brał udział w akcji „Burza” we Lwowie.

W związku z tym poszukuję kontaktu z żołnierzami tego pułku lub osobami, które mogą udzielić mi informacji na jego temat.

Zwracam się więc z prośbą do Szanownej Redakcji o publikację mojej prośby o kontakt na łamach Waszego miesięcznika.

Liczę na pomoc.

Artur Ochał
ul. Mieszka I 7c/35, 72-010 Police

Z życia oddziałów i klubów TML

Gliwice — dla winnickich parafii

Dzięki podróży p. Jadwigi Rudnickiej do Polaków mieszkających w Winnicy i dzięki nawiązaniu z nimi bliższych kontaktów Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa w Gliwicach podjął długofalową akcję pomocy polskiej społeczności z rejonu Winnicy.

W pierwszej fazie działań znaleziono ofiarodawcę samochodu osobowo-terenowego, który bardzo przydał się w kontaktach parafii obwodu winnickiego.

Następnie, dzięki zaangażowaniu wielu osób i organizacji, przekazano rzeczonym parafiom szereg darów, m.in.: monstrancję, kielich mszalny, dzwonki, krzyż, drewnianą rzeźbę Chrystusa złożonego do grobu, kilkanaście ornatów, 40 alb, kilka kompletów obrusów ołtarzowych, książki religijne, obrazy, figurki, różańce, inne dewocjonalia, odzież.

Ofiarodawcom i dobroczyńcom, osobom zaangażowanym, a w szczególności:

— ks. Józefowi Kowalczykowi za ofiarowanie monstrancji, kielicha, ornatów i alb,

— paniom Romanie Podolak i Zofii Szwabowicz za szycie i haftowanie bielizny kościelnej,

— paniom Mirosławie Filipskiej i Barbarze Gosiewskiej oraz panu Janowi Kalinowskiemu za inwentaryzowanie, oczyszczenie, pranie oraz transport ornatów, alb i odzieży,

— paniom Marii Trzcionce-Famurat i Ewie Trzcionce za zbórkę odzieży,

— p. inż. Jerzemu Bradeckiemu, dyrektorowi spółki PP-Metalchem, za przekazanie 1 miliona złotych na zakup elementarzy,

— pani Janinie Szymanowicz za zbórkę odzieży

Oddział TML w Gliwicach tą drogą serdecznie dziękuje.

Klub Łyczakowian

Pierwszy był dr Jerzy Masior, prezes Oddziału Sądeckiego TML. Szukał łyżczakowian i próbował zintegrować ich nieomal od początków istnienia Towarzystwa.

Oddział Gliwicki TML zdobył się natomiast na założenie Klubu Łyczakowian. Organizatorem i prezesem jest mgr Jerzy Woryński, oczywiście z Łyczakowa, a hasło klubu: „nima Lwowa bez Łyczakowa”. Jest też i hymn klubowy autorstwa prof. Tadeusza T. Todorowskiego.

Bo dzielnica łyżczakowska
To prawdziwy cud,
Może się nią chlubić
Dumny lwowski gród (na zicher)
Kto nie wierzy, ten patałach,
Który z byka spadł!
Bo łyżczakowianin
To jest chwat!

to refren hymnu.

Łyczakowianie gliwiczcy spotykają się, balakają, wspominają i śpiewają.

Pan Jerzy Woryński przysłał do redakcji „Semper Fidelis” miły list z apelem do łyżczakowian w Polsce i na całym świecie: „odezwijcie się, napiszcie do nas, a może zakatulaci si do Gliwic? (na razii!).

Przysyłajcie też nazwiska i adresy byłych uczniów szkół powszechnych im. Zyblikiewicza i Św. Antoniego oraz VI Gimnazjum”.

Adres Oddziału TML: 44-100 Gliwice, Plac Inwalidów Wojennych 20, adres prezesa klubu: Jerzy Woryński, 44-100 Gliwice, ul. Opawska 18/11, tel. dom. 32-09-06.

Opracował Lesław Flis

Kraków, dnia 5 sierpnia 1990 r.

Do
Redakcji „Semper Fidelis”

W książce Jerzego Lerskiego pt. *Emisariusz Jur* w rozdziale *Przejście przez Gorgany* na stronie 19 jest podana błędna informacja, a mianowicie — autor pisze „Moi rodzice ściągnęli dużą ilość butelek Cinzano, którego pozbywali się pp. Riedlowie, właściciele dużego sklepu Meinla przy ul. Rutowskiego”.

Firma „Edmund Riedl” została założona w 1880 r. przez mojego dziadka Edmunda Riedla i aż do chwili zajęcia jej przez Sowie-ty, czyli tzw. znacjonalizowania w dniu 8 XII 1939 r., była w posiadaniu mojej Rodziny. Ja sam odbywałem tam praktykę handlową. Riedlowie nigdy nie byli właścicielami ani współwłaścicielami austriackiej firmy „Juliusz Meinl”, która prowadziła swoją działalność handlową również i w czasie okupacji niemieckiej we Lwowie. Fakt ten w skojarzeniu z nazwiskiem mojej rodziny prowadzić może do przykrych skojarzeń. Ojciec mój, Kazimierz Riedl — syn Edmunda R. założyciela firmy — był wywieziony przez Sowie-ty do łagru w Krasnodonie za odmowę zgłoszenia się na repatriację ze Lwowa, ponieważ uważał, że Lwów jest polski i pozostał mu wierny aż do przedwczesnej śmierci.

Podając powyższą informację, proszę uprzejmie o zamieszczenie w „Semper Fidelis” odpowiedniej notatki odnośnie sprostowania błędu popełnionego przez p. J. Lerskiego.

mgr Edmund Riedl

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy

Zgodnie z sugestiami kierowanymi do naszej redakcji postanowiliśmy zamieszczać nekrologi i wspomnienia pośmiertne o osobach, które urodziły się lub mieszkaly na kresach wschodnich.

Wyrażamy również gotowość drukowania tekstów reklamowych firm zagranicznych i krajowych, promujących działalność gospodarczo-handlową.

Ceny za ogłoszenia w ramach są następujące: cała strona 3 000 000 zł, 1/2 — 1 750 000 zł, 1/4 — 900 000 zł, 1/8 — 650 000 zł.

Za ogłoszenia, które nie będą umieszczone w ramach, pobieramy 20 000 zł za jedno słowo.

Druk zamówionego tekstu nastąpi w najbliższym terminie po dokonaniu przez klienta przelewu na konto: WBK IV O/Wrocław 359209-5164.

Na ten sam numer konta można dokonywać opłat w walutach wymienialnych za bieżące i archiwalne egzemplarze naszego pisma.

Rozwiązanie zadania szachowego

- | | | | |
|----------|------------|-------------|-------------|
| 1. Ha7! | 2. Hd4+ | 3. Hb4+Ka2 | 4. Ha4 Mat |
| 1...K:c4 | 2. Hd4+Kb3 | 3. H:e3+Kf5 | 4. H:f3 Mat |
| 1...Wd1 | 2. Gf7+Ke4 | 3. Gd3! Kc5 | 4. Hf5 Mat |
| 1...Sc5 | 2. Hf7+Se6 | | |

Wyniki konkursu na wspomnienia lwowiaków

W konkursie na wspomnienia lwowiaków i mieszkańców ziem południowo-wschodnich Polski, ogłoszonym przez Oddział Stołeczny Towarzystwa Miłośników Lwowa w 1989 roku, jury w składzie: Adam Hollanek, Jerzy Janicki — przewodniczący, Witold Szolginia, Janusz Wasylkowski, przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

I nagroda w wysokości 500 tys. zł — Franciszek Stemler (Otwock) za pracę *Ludzie Doliny*.

Dwie II nagrody po 350 tys. zł:

— Stanisław Klimpel (Warszawa) za pracę *W dolinie Wyruy*.

— Tadeusz Krzyżewski (Kraków) za pracę *Młodości wierzga!*

III nagroda w wysokości 200 tys. zł:

— Józef Antos (Warszawa) za plan Lwowa.

Dwa wyróżnienia po 150 tys. zł:

— Zbigniew Kratochwil (Warszawa) i Marian Kratochwil (Londyn) za pracę *Wspomnienia o Mieczysławie Kistynie*.

— Antoni Stadelmeyer (Piastów k/Warszawy) za tom wierszy *Lwów, miasto mojej młodości*.

Sprostowania

W numerze lipiec—październik (4—5) 1990 r. z winy redakcji na str. 34 błędnie została podana nazwa powiatu. Jest: Radziechów, woj. Tarnopol, powinno być: Radziechów, woj. Tarnopol.

W wykazie prezesów oddziałów i kół TML, opublikowanym w nrze 4—5/90 SF błędnie podano nazwisko prezesa Oddziału TML w Bolesławcu. Prezesem jest pani Stanisława Baławander.

Przepraszamy za pomyłki.

SZANOWNI CZYTELNICY,

W naszej redakcji we Wrocławiu (adres na II s. okł.) można jeszcze nabyć „Semper Fidelis” numery 1—4/5.

Każdy, kto do nas napisze, otrzyma egzemplarz za zaliczeniem pocztowym.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

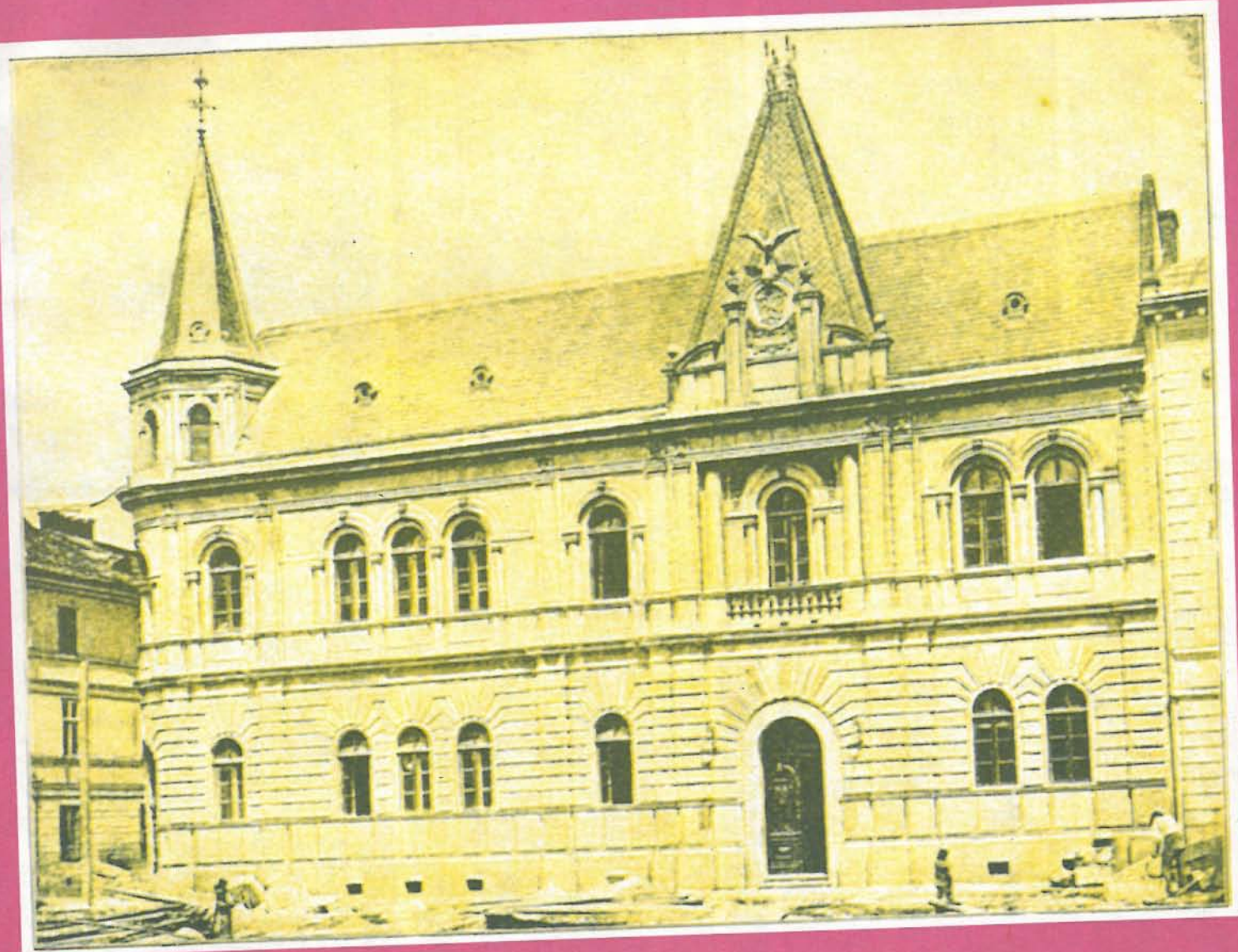
Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

Archiwalne i bieżące numery pisma są stale do nabycia w Pałacu w Rydzynie, na Zamku w Kórniku, w księgarniach Ossolineum oraz w siedzibach oddziałów i klubów Towarzystwa Miłośników Lwowa na terenie całego kraju.

GRAFIKA



W związku z licznymi prośbami zawartymi w listach Czytelników do redakcji publikujemy zdjęcia mniej znanych obiektów, które wymieniane są podczas opisu akcji bojowych z okresu obrony Lwowa. W tym numerze gmach Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” przy ul. Zimorowicza 8 — w 1918 r. punkt werbunkowo-organizacyjny dla młodzieży (patrz „Semper Fidelis” nr 4—5). Odbitka zrobiona przy użyciu kserografu laserowego firmy Canon z karty pocztowej wykonanej pomiędzy 1888 a 1893 r. przez zakład artystyczno-fotograficzny Michała Goldberga we Lwowie przy ul. Jagiellońskiej 11. Odbitkę otrzymaliśmy od lwowianina z Teksasu Pana Stanisława Garczyńskiego. Ofiarodawcy pięknie dziękujemy.



W NUMERZE:

Czesław E. Blicharski, 450 lat Tarnopola (1540—1990)

Ryszard Beldzikowski, O duchowieństwie lwowskiej archidiecezji na Dolnym Śląsku

Stanisław Sławomir Nicieja, Diaspora Małopolska — Komandor francuskiej Legii Honorowej

Henryk Staniuk, Sagi rodów kresowych — Ród Tomaszewskich

Żegnaj Tońku

W świątecznym nastroju

Jerzy Janicki, Listy do Lwowa